

Tytuł: „Z głębi”

Autor: Krzysztof Wilk

Usłyszałem niedawno, że normalny tydzień pracy dzieli się na poniedziałek – odpoczynek po weekendzie; wtorek – przygotowanie do dnia pracy; środę – dzień pracy; czwartek – odpoczynek po dniu pracy; i piątek – przygotowanie do weekendu. Podobno pracownicy korporacji nie są zadowoleni z tego stanu rzeczy i oczekują wyjaśnienia od przełożonych, jak długo jeszcze będą zmuszani do harówki w każdą środę. Na państwowej posadzie nie jest aż tak różowo, ale ogólnie należy się nie wychylać i modlić, żeby nie zdarzyło się nic, co zaburzy ten z grubsza stabilny harmonogram.

Wszystko zdarzyło się jakieś siedem lat temu, gdy byłem jeszcze względnie młodym prokuratorem. Większość ówczesnej kariery spędziłem w Prokuraturze Rejonowej dla Krakowa-Śródmieścia, a ostatnich kilka miesięcy w okręgówce – po awansie. Moje życie toczyło się bardzo regularnym rytmem, aż do pewnego letniego poniedziałku...

Nie miałem dyżuru w weekend, więc trzy poprzednie wieczory spędziłem na imprezowaniu z tej czy innej okazji, w niedzielę to już nawet bez okazji. W piątek był piątek, więc spotkanie z przyjaciółmi, piwo i trochę mocniejszych trunków; w sobotę był mecz w telewizji, więc znów piwko, a później już grubsza impreza i wyjście na miasto; w niedzielę grill – wiadomo, browar i delikatna wódeczka. Słowem – normalny weekend.

W poniedziałek trzeba było wstać jakoś do pracy, ale nigdy nie miałem z tym większego problemu. Nic tak nie pomaga na kaca jak godzinka porannego joggingu, żeby wypocić procenty. Potem obfite w białko i tłuszcze śniadanie, mocna kawa i można funkcjonować tak, że nikt w pracy nawet się nie zorientuje, że cały weekend chlałeś. A nawet jakby się ktoś zorientował, to co z tego? Wszyscy w prokuraturze walą gorzałę, nie tylko w weekend i nie tylko po pracy.

Ja zawsze potrafiłem szybko się doprowadzić do stanu „używalności” i już o ósmej być w „firmie”, jedynie z lekką pozostałością kaca przejawiającą się suszeniem i umiarkowanym bólem głowy. Tego już niestety nie da się obejść, ale dwa piwka po robocie załatwiają temat. Byle tylko jakoś dotrzeć do tego czasu, nie zwracając na siebie zbytnej uwagi.

To jednak nie był dzień tego rodzaju.

Od razu po wejściu do budynku usłyszałem na recepcji, że szef chciał się ze mną widzieć już o siódmej, ale zdążył wyjść i kazał mi stawić się u swojego zastępcy natychmiast, gdy tylko się pojawię. To mi śmierdziało pokrzyżowaniem mojego planu, który zakładał zalogowanie się do systemu w gabinecie, zaparzenie kawy i wypalenie papierosa przy porannej gazecie.

„Żegnaj gazetko” – pomyślałem i przekląłem w myślach, że zwlekałem ze szlukiem aż do tego momentu. Zwykle jednak bardzo sobie cenię swój poranny rytuał: nie palę aż do chwili rozpoczęcia pracy, żeby pierwszy wdech nikotyny zrobić wraz z łykiem espresso. Teraz nie będzie ani espresso ani szluga. „Chuj by to strzelił”.

Po drodze wstąpiłem tylko do swojego gabinetu, żeby zostawić teczkę, i pospieszyłem korytarzem na drugim piętrze aż do końca, gdzie znajdował się pokój prokuratora okręgowego i przyległy do niego gabinet jego zastępcy – pieprzonego Romeczka.

Jak ja nie cierpię tego typu. Gość jest 5 lat młodszy ode mnie i powinien jeszcze grzebać się w drobnicy w rejonie albo tyłkiem polerować ławki przed salami rozpraw, a on nie dość, że już w okręgu, to jeszcze, od kopa – zastępca prokuratora okręgowego. „Jebany Romeczek”.

– Co tak późno? Szef cię szukał już godzinę temu. Masz robotę na już – wypalił bez słowa przywitania, gdy tylko wszedłem do jego gabinetu. Przywitałem się oschle i zapytałem, co to za zadanie.

– Na dole czeka na ciebie do przemaglowania trzech świadków wczorajszej napaści. Na Stradomiu pod hotelem gość dostał płytą chodnikową czy innym kamieniem w głowę, jest w stanie krytycznym. Mamy na dole ekspedientkę ze spożywczego, sprzątaczkę z piekarni i sprzedawcę precli. Akt nie dostaniesz, bo ma je szef, nadzoruje przesłuchanie świadka, który wezwał pomoc.

– O której to się stało? Ktoś coś widział? – zapytałem.

– Nie mamy nic. Przypadkowy przechodzień wezwał pomoc chwilę przed piątą. Poniedziałek bladym świtem, wymarłe ulice – odparł Romeczek i dodał: – Ci, co czekają, też nic nie widzieli. Policja zawijała kolejno każdego, kto się pojawiał w okolicy, żebyśmy się potem nie przypierdalali, że nic nie robili na miejscu zdarzenia. Ci ludzie tam na co dzień pracują, musisz ich przemaglować na chybił trafił. Zobaczymy, co będzie. Monitoring i technicy się sprawdzają, jeszcze nic nie mamy. Jak coś będzie, to ktoś ci podrzuci info w trakcie przesłuchania. Nie wypuszczaj nikogo, dopóki ci nie pozwolimy, nawet jak skończysz. Jakby co, to nie są zatrzymani, tylko prowadzimy procedury, wiesz jak to działa. Do roboty.

Najbardziej rozbrzmiały mi w głowie słowa: „dopóki ci nie pozwolimy”. Jebany Romeczek z Szefem to już jedność; pierwsza osoba liczby mnogiej. „Ty mi możesz, Romeczek, wiesz...” – pomyślałem i wyszedłem z jego gabinetu. Przemknęło mi przez myśl, że jeszcze walnę to espresso i zajaram szluga, ale na odchodnym usłyszałem:

– Tylko migiem! Za dwie minuty masz być na dole.

„Niech to szlag!”.

Tak, jak się spodziewałem, od tych niby-świadków można było się dowiedzieć tyle co nic. Na miejscu zdarzenia najwcześniej pojawiła się sprzątaczką z Lajkonika. Tę kawiarnio-piekarnię otwierają o siódmej, a ona przychodzi godzinę wcześniej, żeby ogarnąć lokal przed otwarciem. Gdy zjawiła się na miejscu, już dawno była policja, a karetka z uszkodzonym zjechała odjechać. Podobnie sprawa wyglądała ze sprzedawczynią ze spożywczaka. Otwarcie o siódmej, ona przyszła pół godziny przed czasem, więc widziała jeszcze mniej niż sprzątaczką. Wiedziałem, że jak na tym skończę przesłuchanie, to Romeczek będzie kręcił nosem, więc zrobiłem obszerne rozpytanie, obejmujące historię zatrudnienia, codzienną rutynę pracy, podejrzane osoby w okolicy – i co najważniejsze dla perspektywy dalszych bezsensownych, ale dających pozory skrupulatności działań śledczych – dane osobowe i kontaktowe wszystkich współpracowników, przełożonych, podwykonawców i dostawców. Nazbierałem łącznie czterdzieści osób i ktoś będzie musiał je przesłuchać. „Ciekawe, czy wykopałem grób dla siebie czy dla jakiegoś asesora”.

Ostatni był sprzedawca obwarzanków, którego zgarnęli, kiedy tylko wtoczył swój wózek na róg Bernardyńskiej i Stradom o w pół do ósmej – czyli ponad dwie i pół godziny po zdarzeniu.

– Panie sędzio...

„Nie chce mi się tłumaczyć różnicy między sędzią a prokuratorem, niech mówi...”

– ... ja się trochę spóźniłem, bo normalnie to przychodzę tak przed siódmą, ale wczoraj ciężki wieczór był i jakoś tak nie mogłem się wygrzebać. Ja mieszkam niedaleko, ale musiałem jeszcze po wózeczek z preclami polecieć na Koletek i dopiero go tu przytachać. Niedobrze... Jak jestem przed siódmą, to nieraz mi się uda z piętnaście precelków puścić, ludzie rano się w kolejce do mnie ustawiają, bo piekarnia jest jeszcze zamknięta. Jak się przywlokę wcześniej, to potem szybciotko mi schodzi towar i do domu można uciekać. A dziś w dupę... nie dość, że później, to jeszcze mnie, panie sędzio, te pały zawinęły. I kiedy ja teraz sprzedam te

obwarzanki? Do nocy, kurwa, będę siedział. A co się tam w ogóle odpiardoliło pod kościołem?
Zabili kogoś?

Powiedziałem mu, żeby pilnował języka, bo to nie jest jego melina, i że to ja zadaję tu pytania. Co chwila dociekał o ten swój zasrany wózeczek, jakbyśmy mieli mu te wszystkie obwarzanki zeżreć komisyjnie. Przyjrzałem się temu gościowi uważniej i się zorientowałem, że już jakiś czas temu, gdy chodziłem po mieście, zwróciłem uwagę na to, że obwarzanki sprzedają menele. Nie wiem, jak to działa, ale do tej pracy zatrudniani są ludzie, którzy równie dobrze mogliby stać na Dietla po darmowy obiad dla bezdomnych. Różnice są subtelne, ale jednak zmieniają wszystko. Typek przede mną nie miał złamanego nosa, ran na twarzy i co prawda nie pachniał Diorem, ale też nie trzeba było otwierać okna, żeby wytrzymać z nim w jednym pomieszczeniu. Za kołnierz jednak nie wylewał i wczoraj było pite bez wątpienia. Pewnie jest alkoholikiem, ale ma gdzie mieszkać, raz na jakiś czas się myje i pierze ubrania... No i pracuje. Czy to są te cztery sprawy, które odróżniają rasowego menela od zwykłego pijaczka? Ciekawe, co musi się stać, żeby wypaść na zewnętrzny krąg – bo nie mam wątpliwości, że facet przede mną, jeżeli się stoczy o jeden szczebel niżej, to już na bank wyląduje na ulicy.

– Przepraszam, panie sędzio – kontynuował sprzedawca. – Ja nie chciałem obrazić, tylko zły jestem, bo przez to wczorajsze się spóźniłem, nie sprzedałem rano precli i jeszcze nie złapałem Ryśka, a mam do niego sprawę, bo mam problem z tym, który mi ten wózeczek wypożycza, cholerny skurwys... Przepraszam, panie sędzio, ale podniósł mi za niego opłatę, a nie pozwala zwiększyć ceny za precla. Jak ja mam na tym wyjść na swoje? Przecież ja w plecy jestem! I chciałem pogadać z Rysiem, on już mi kiedyś pomógł. Ja to bym tego prywaciarza... Przepraszam, zły jestem.

„Jaki, kurwa, Rysiu?” – pomyślałem.

– Stop. Kto to jest Rysiu? – zapytałem.

– Kolega. A o co się rozchodzi? – odparł sprzedawca z głupią miną.

– Byłeś z nim dziś umówiony?

– Nie. Ale myślałem, że go spotkam. Czasem się widzimy przed otwarciem piekarni, bo on tam chodzi, żeby coś do jedzenia dostać. Ja mam rozliczane wszystkie precle i ten prywaciarz, chuj jebany, by mi je z gardła wyciągnął... Przepraszam, panie sędzio. Dla Rysia w piekarni odkładają, co się nie sprzedaje z poprzedniego dnia. A jak czeka na otwarcie, to do mnie wpada.

I potem też podejdzie pogadać, bo on się tu kręci w okolicy. Równy chłop z niego. Jak jakiś problem, to tylko do Rysia – rozgadał się sprzedawca.

Zapytałem go jeszcze, czy myśli, że ten jego „Rysiu, równy chłop” mógł być rano w okolicy. Wszystko wskazywało na to, że tak – przynajmniej tak myślał precelkowy pan. Skoro liczył na spotkanie na ulicy, nie łudziłem się, że zna jego adres. Patrząc po moim świadku, przewidywałem, że kolega z jego świata, który na dodatek żebrze w piekarni, może być pozbawiony przywileju posiadania jakiegokolwiek własnego adresu, więc zapytałem:

– Muszę pogadać z tym twoim Rysiem, gdzie go znajdę?

Sprzedawca zamyślił się, angażując chyba wszystkie niewypalone jeszcze przez wódę zwoje, i po chwili odpowiedział:

– No gdzieś w okolicy będzie, bo o trzynastej otwierają kuchnię na Dietla.

Popatrzyłem na zegarek – była prawie jedenasta. Tyle mi wystarczyło. Nie zamierzałem tracić tu więcej czasu, podczas gdy gdzieś tam po mieście snuje się człowiek, który być może był świadkiem zdarzenia.

Wyszedłem z pokoju przesłuchań i wparowałem do Jonasza, najbardziej łebskiego asesora w okręgu. Poprosiłem o dokończenie przesłuchania sprzedawcy precli i ustalenie rysopisu potencjalnego świadka – Ryszarda – a następnie zweryfikowanie tych informacji, a przede wszystkim rysopisu, u pozostałych świadków, którzy zgodnie z życzeniem pieprzonego Romeczka czekali na korytarzu i byli do naszej dyspozycji. Gdy wychodziłem od Jonasza z jego gabineczku – który współdzielił z trzema innymi świeżakami – poprosiłem, żeby zadzwonił, gdy zakończy czynności.

– Gdzie będziesz, gdyby z góry pytali? – rzucił mi jeszcze, gdy byłem już w drzwiach.

– Idę pobawić się w prawdziwego śledczego, zanim zginę pod stertą jakichś akt. – Ujrawszy wymowny uśmiezek na twarzy Jonasza, dodałem: – Nie ma szans, żeby psy nam szybko przyprowadziły tego Ryśka, spróbuję sam go znaleźć!

Usłyszawszy krzyki, zrozumiał, że ktoś już się zajął tym śmieciem. Postanowił czym prędzej się stamtąd zmyć. Gwałtowne przebudzenie i skok adrenaliny opóźniły to parszywe uczucie, które witało go każdego dnia; fizyczny upadek, ciężki do opisania. Połączenie potężnego bólu

głowy, pogruchotanych kości, ścisku żołądka i co najgorsze – tego nieznośnego pieczenia w przełyku. Jakby ta pieprzona woda miała go kiedyś wypalić od środka.

– Może już niedługo... – powiedział do siebie z nadzieją, ale po sekundzie zaczął analizować wszelkie możliwości napicia się. Pomyślał też o szlugach ale nie miał żadnych i wiedział, że o tej godzinie raczej nic nie wyżebrze.

Ciężkim krokiem ruszył Plantami w kierunku Dworca Głównego. Na odchodne rzucił okiem w stronę ławki pod hotelem Royal, na której jeszcze chwilę temu spał, żeby się upewnić, czy niczego nie zostawił. Na ziemi leżała małka wiśniówki. Oczywiście była prawie pusta, ale coś tam się jeszcze ostało na dnie... Musiał widocznie zasnąć, zanim opróżnił ją do końca, a to tylko świadczy o tym, w jak dramatycznym był stanie.

Wrócił po nią i zrobił ostatni łyk. Słodki napitek natychmiast zabił niesmak w ustach, by po chwili spłynąć do gardła i zadać ból. Dla przepalonego przełyku ta niewielka ilość alkoholu zadziałała jak sól na żywą ranę. Były tylko dwa sposoby na pozbycie się tego parszywego uczucia: odstawić picie i po kilku dniach poczuć poprawę lub znieczulić się większą ilością wody i doznać ulgi jeszcze tego samego dnia. Pierwsze nie wchodziło w grę. A więc faszka.

Mimo podłego samopoczucia ruszył dalej, bo Planty były jeszcze opustoszałe, a w okolicach dworca już za kilkadziesiąt minut będzie ruch i okazja do zarobku. Tu nic dobrego go nie czekało, musiał iść.

Ledwo uszedł kilkadziesiąt metrów, a słońce – które przecież dopiero co wstało – zaszło. Nagle zrobiło się ciemno, jak gdyby to był późny wieczór. Kątem oka zobaczył postać stojącą na trawniku od strony rynku. Gdy tylko skierował tam spojrzenie, już jej nie było. Za to wyobrażenia – jak zawsze niezawodna w takich chwilach – podsuwała mu jej obraz. Ogarnęło go przerażenie, ponieważ wiedział, co się stanie, gdy znów obróci głowę... On tam będzie. Postanowił wbić wzrok w czubki swoich butów i ruszyć szybko w innym kierunku – o tej godzinie mógł szukać pomocy tylko w jednym miejscu. W tej samej chwili dotarł do niego cichy szept, dochodzący zza jego ramienia. Nie chciał spoglądać w tamtą stronę, bo wiedział, co zobaczy – to nie był pierwszy raz.

– Wiem, że nie istniejesz. To ja tracę rozum – powiedział raczej do siebie i nie zwolnił kroku, ale szept tylko przybierał na sile i w końcu stał się zrozumiały:

– Widzę cię... – Teraz głos dobiegał jakby z wnętrza jego głowy.

Zaczął biec – tempem wyniszczzonego picciem starca.

Droga z prokuratury na Stradom powinna zająć jakieś dziesięć minut. I zajmuje tyle, ale chyba w nocy. W dzień powszedni, a szczególnie w poniedziałek, na Dietla stoisz w korku. A od czasu, gdy magistrat postanowił zamienić jeden pas ruchu w ścieżkę rowerową, stoisz w korku na całej długości, mniej więcej do tego miejsca, gdzie chciałem dojechać. Możesz sobie za to popatrzeć, jak dostawcy jedzenia śmigają obok ciebie rowerami po nowiusieńkiej ścieżce... Zadzwoił telefon.

– Rysopis wysłałem ci SMS-em, policja już go szuka w okolicy. – Jonasz nie owija w bawełnę, szanuję takich ludzi. – Zarówno sprzedawczka, jak i sprzedawczyni potwierdziły, że kojarzą tego Ryszarda. Nie wspomniały o tym, bo nikt nie pytał... Jak się puści policję na rozpytanie, to tak to wygląda.

– No... – odparłem bez przekonania. „Ja też nie zapytałem”, ale tego już nie dodałem, tylko rzuciłem: – Dzięki! – I zakończyłem połączenie.

„Wiem, gdzie go teraz znajdę”

Na środku ulicy Dietla, pomiędzy jezdniami, jest alejka, trawnik, drzewka i ławeczki. A jak są ławeczki, to są i koledzy. Gdy przekraczał ulicę na drugą stronę, z daleka zobaczył śpiącego bezdomnego. Zbliżył się szybko i szarpiąc go krzyknął:

– Masz coś?! Muszę! Oddam ci, masz coś?!

Ale śpiąca królewna była bez przytomności. Znał ten stan. Usłyszał brzdęk szkła, gdy spod głowy włóczęgi w wyniku szamotania wyślizgnął się na ziemię plecak. Na moment zamarł, ale zaraz stwierdził z ulgą, że nie był to ani dźwięk rozbitej flaszki, ani tym bardziej butelki pustej. Lata na ulicy sprawiają, że człowiek nabywa nowych, bezużytecznych w normalnym świecie umiejętności, jak chociażby zdolność oceny stanu wypełnienia ciecżą na podstawie dźwięku wydawanego przez szkło.

Chwycił za plecak i wyciągnął z niego oblesną butelkę, wypełnioną do połowy fioletową ciecżą.

– Na miłość boską... – jęknął, po czym odkręcił korek, zamknął oczy i duszkiem opróżnił zawartość. Smak był obrzydliwy, niemożliwy wręcz do opisanego, ale moc, niczym papierek

lakmusowy, potwierdził jego przepalony przełyk. Musiał odczekać chwilę, żeby opanować odruch wymiotny, po czym otworzył oczy.

– Przepraszam, to była awaryjna sytuacja – powiedział w stronę śpiącej królowej. Gdy przeniósł na niego wzrok, wzdrygnął się, gdyż jego oczy były nienaturalnie szeroko otwarte i wpatrywały się w niego z porażającą intensywnością. To były oczy bez źrenic – same przeraźliwe białka. Cofnął się o krok, a leżąca, bez wątpienia męska postać bez najmniejszego ruchu warg wypowiedziała tym samym co wcześniej, złowrogim – i co gorsza – kobiecym szeptem:

– Po co ty właściwie żyjesz Ryszardzie?

Mężczyzna po raz kolejny wbił wzrok w ziemię i ruszył – ni to biegiem, ni to chodem – w kierunku jedyne go czynnego o tej godzinie sklepu w okolicy. Specyfik skradziony demonowi teraz zaczął już na dobre krążyć w żyłach, świat zawirował, a krew zaszumiała. Chyba tylko to pozwoliło mu nie umrzeć ze strachu. Na przejściu dla pieszych nieomal wbiegł pod nadjeżdżający samochód, ale ten w ostatnim momencie wyhamował. Jego pole widzenia zwęziło się, musiał ostrożnie manewrować między kioskiem i latarnią, ale już wyłaniał się przed nim zielony neon szanowanej w okolicy i otwartej przez całą dobę przystani: Alkoholi Corleone.

Przed wejściem upadł, ale siłą rozpędu wczołgał się do monopolu, cały czas wlepiając wzrok w podłogę. Gdy był już w środku, podniósł błędne spojrzenie i ku swojemu przerażeniu zobaczył stojącą plecami do niego czarną postać, która w tym samym momencie obróciła się na pięcie. Musiał wysoko zadrzeć głowę, żeby zobaczyć jej twarz.

– Ryszard? – Usłyszał. – Czekałem na ciebie.

Leżącemu mężczyźnie od patrzenia w górę zakręciło się w głowie. Zrobiło mu się ciemno przed oczami i opadł twarzą na posadzkę.

Nie zamierzałem podwozić swoim samochodem menela, więc powiadomiłem niebieską taksówkę, gdzie ma się podstawić. Kusiło mnie, żeby kazać im włączyć „bomby” i przejechać wraz z nimi w kordonie cały ten korek, ale w ostatnim momencie pomyślałem, że jak mój świadek okaże się bezużyteczny, a Romeczek się o tym dowie, to będę miał przejebane. Od jakiegoś czasu góra zrobiła się przewrażliwiona na punkcie nadużywania przywilejów. Nie

pozostało mi zatem nic innego, jak wlec się z powrotem w tym korku i razem z innymi kierowcami oglądać śmigających po ścieżce rowerzystów.

Po dotarciu na miejsce poprosiłem jednego z policjantów o zbadanie trzeźwości Rysia.

– Zrobiliśmy to zaraz po zatrzymaniu. Było wtedy jeden i osiem promila, a pięć minut temu było już dwa.

– No kurwa, to on do jutra nie będzie mógł zeznawać – odparłem wkurzony.

– Mamy go zawieźć na Rozrywki? – zapytał policjant, mając na myśli izbę wytrzeźwień, która, chyba dla żartu, jest zlokalizowana przy ulicy o tej nazwie.

„Nie będę czekał do jutra na świadka, który być może nawet nie ma nic do powiedzenia”.

– Nie ma na to czasu, muszę wiedzieć teraz, czy w ogóle jest po co na niego czekać, ale nie mogę go zabrać do prokuratury, bo będzie afera, że przesłuchujemy upojonego. Zamiast przesłuchania zrobimy małe rozpytanie, i nie tu, tylko u was. Jedziemy na Biały Domek, zabiorę się z wami.

Na szczęście policja nie ma żadnego problemu z wykonywaniem poleceń, jeżeli tylko są jasno sformułowane. Z Ronda Mogińskiego do komendy policji w Białym Domku dojechaliśmy już błyskawicznie i kilkanaście minut później miałem Rysia w pokoju przesłuchań.

Poprosiłem tego policjanta, który wydawał się całkiem rozgarnięty, żeby wypuścił kolegów na patrol, a sam żeby „pomógł” mi ze świadkiem. Chodziło o to, że trudno byłoby mnie – prokuratorowi – wyjaśnić, co robiłem z pijaniutkim obywatelem w pokoju przesłuchań. Natomiast w wachlarzu czynności policji rozpytanie i sporządzenie notatek służbowych na okoliczność informacji uzyskanych podczas owego rozpytania były całkowicie standardowymi działaniami. Choć ten trik może budzić pewne wątpliwości proceduralne, w istocie wydawał mi się niewinny, ponieważ nie zamierzałem wyciągać ze świadka zeznań, a jedynie dowiedzieć się, czy w ogóle ma o czym zeznawać już po wytrzeźwieniu.

– Domyśla się pan zapewne, dlaczego postanowiliśmy zająć jego cenny czas? – zacząłem nieco sarkastycznie, gdy zasiedliśmy już we trójkę w pokoju przesłuchań.

– Zupełnie nie... Jestem... zaskoczony – Ryszard zdradzał wszelkie objawy drugiej fazy mocnego upojenia alkoholowego. Euforia już minęła, ale stan ogólnej radości się utrzymywał. Jak każdy pijany, starał się mówić powoli i wyraźnie, jakby wcale nie był narąbany. Lekko

mrużył oczy, wykonywał nietypowo powolne ruchy rękami, a głowa mu trochę opadała, ale wzrok utrzymywał na rozmówcy. Cały leciutko się kiwał na boki.

Jego wygląd nie odbiegał od stereotypu bezdomnego, choć nie było też najgorzej. W powietrzu unosił się fetor menela, ale dało się wytrzymać. Kilka warstw ciuchów ubranych jedno na drugie to charakterystyczna cecha bezdomnych. Łatwiej jest chyba spakować cały swój dobytek do plecaka czy na wózek, jeżeli wszystkie ubrania masz na sobie. Zostaje wtedy więcej miejsca na cenniejsze rzeczy, w szczególności fanty. Długa broda sprawiała, że mógł mieć równie dobrze sześćdziesiąt, jak i siedemdziesiąt lat, choć raczej to pierwsze, bo ludzie tej kondycji rzadko dożywają więcej. Ale coś mi w nim nie pasowało, jakiś ulotny niuans, który ewidentnie miałem przed oczami ale nie mogłem go uchwycić.

– Gdzie pan był dziś w nocy i o świcie? – zapytałem.

– Trochę tu, trochę tam, a bo co? – odburknął Ryszard i mimo dzielącego nas metrowego stołu przysłuchań poczułem wyraźnie woń jakiegoś owocowego trunku i się skrzywiłem.

Ryszard to dostrzegł i z wrednym uśmiechem na gębie zapytał, czy mi nie szkodzi tutejsze powietrze.

„Jebany dowcipniś. Muszę przejść do rzeczy”.

– Gdzie pan dziś spał? Proszę o adres noclegowni, sprawdzimy to.

– W noclegowni nie sypiam, bo tam nie można...

– To gdzie? W pustostanie, w jakiejś melinie czy na ulicy?

– A o co się rozchodzi... że tak powiem? – odparł Ryszard i wbił we mnie badawczo wzrok, który niby był skupiony, ale w taki specyficzny, pijacki sposób. To ten stan, gdy próbujesz utrzymać spojrzenie na jednym punkcie, ale cały świat włącznie z tobą lekko dryfuje.

– Nie pan zadaje pytania. Doszło do przestępstwa i mamy informacje, że mógł pan być w okolicach miejsca zdarzenia w czasie, gdy do niego doszło albo chwilę później. Muszę wiedzieć, czy ma pan coś do powiedzenia w tej sprawie, i oczekuję jasnej i zgodnej z prawdą odpowiedzi. – Moje rozdrażnienie było już wyraźne.

Ryszard spuścił wzrok i spochmurniał. Dotąd można było odnieść wrażenie, że jest jak dziecko na wycieczce szkolnej, że cała ta sytuacja ciekawi go, zabija nudę i rutynę dnia codziennego. Teraz jakby zapadł się w siebie i powiedział cicho:

– Boję się...

Po plecach przeszły mi ciarki, mój prokuratorski nos mówił mi, że trafiłem na źródło informacji. Nie zamierzałem zapewniać go, że nie ma się czego obawiać, a jedynie starając się ukryć skrajne podniecenie, dodałem stanowczo, ale łagodnie:

– Proszę mówić, co pan wie. – A pomyślałem: „Mów, kurwa! Gówno mnie obchodzi twoje pijackie obawy. Chcę wiedzieć, czy mam trop w tej sprawie!”.

– Boję się... – powtórzył Ryszard. Po chwili wyprostował się, a wyraz jego twarzy i sposób wypowiedzi nabrały spokoju i dalej mówił już wręcz elokwentnie: – A może lepiej byłoby powiedzieć, iż się o b a w i a m, że stosując tego rodzaju metody, co tu dużo mówić, niezgodne z prawem, możecie, szanowni panowie, stracić szansę na pozyskanie wiarygodnego materiału dowodowego.

„Już wiem, co mi w Tobie nie pasowało” – zamurowało mnie. „Udawałeś przygłupa, cwaniaczku”. Policjant siedzący obok mnie nie odezwał się, ale miałem wrażenie, że usłyszałem, jak sztywnieją mu mięśnie pleców.

– Pomyślał pan, prokuratorze, co by się stało, gdybym to ja okazał się sprawcą tego przestępstwa? – Ton Ryszarda przypominał ton mojego szefa z rejonowej, gdy podsumowywał błędy mojego pierwszego dochodzenia. – Czy nie uważa pan, że byle jaki obrońca z urzędu narobiłby wam sporo kłopotów za przesłuchiwanie podejrzanego w stanie upojenia alkoholowego?

„Co za jebany cwaniak” – pomyślałem i po głowie natychmiast zaczęły mi gonić myśli w poszukiwaniu usprawiedliwienia.

– Tylko proszę mi nie mówić, że pan nie wiedział, że jestem pijany, bo nie ma pan alkomatu w oczach – kontynuował Ryszard, tym razem z ironicznym uśmiechem, który jednak zaraz zniknął. – To byłoby może nawet dobre, gdyby nie to, że zaprosił pan do spółki tego oto jegomościa... – wskazał wzrokiem na zmrożonego policjanta – ...który dwa razy zbadał mnie alkomatem w radiowozie. Raz po zatrzymaniu i drugi raz przed firmą. Domyślam się, że to właśnie z tego powodu nie zabraliście mnie do prokuratury, tylko tutaj. – Ryszard wyraźnie zakończył swoją wypowiedź, rozparł się wygodnie na krześle i złożył dłonie na blacie, formując trójkąt.

„To znak otwartości” – przypomniało mi się z jakiegoś durnego szkolenia z mowy ciała. Postawa Ryśka nie była wyczekująca, był jak profesor, który powymądrzał się, popastwił nad

nieprzygotowanym studentem i czekał na dalszą inicjatywę. „Tylko się popisuje” – pomyślałem i to mnie odrobinę rozluźniło. Policjant obok mnie chyba nie wyczuł zmiany atmosfery bo miałem wrażenie, że napięciem mięśni zaraz sam złamię sobie kręgosłup.

Teraz była moja kolej, żeby coś powiedzieć. Podświadomość wyłapała z wypowiedzi Ryśka określenie, jakim nazwał prokuraturę – nie słyszałem, żeby ktoś poza nami nazywał ją „firmą”.

– Widzę, że przepisy i nasze procedury nie są panu obce – powiedziałem najspokojniej jak tylko potrafiłem.

W Ryszardzie zaszła kolejna zmiana. Uśmiechnął się, poprawił na krześle i odezwał się wyraźnie rozbawiony:

– Dajmy spokój z tym „panowaniem”, przecież wszyscy tu w Polsce jesteśmy potomkami włościan. Rysiek jestem i wydaje się, że mógłbym być twoim ojcem, hmm?

Zaskoczył mnie kolejny raz, ale stwierdziłem, że co mi tam, może to poprawi sytuację. Skinąłem głową i przedstawiłem się:

– Marcin. Ale poza tym pokojem: pan prokurator.

– Ma się rozumieć. Nie miej za złe tego pouczenia, to tylko z troski o pewne reguły. Boli mnie, gdy widzę upadek standardów. Ale do rzeczy, jak chcesz pogadać jak człowiek na poziomie z człowiekiem na poziomie, to musisz wypuścić psa na pole – kończąc to zdanie, popatrzył prosto w oczy policjantowi i uniósł lekko brwi w wyczekiwaniu.

„Jebany ma odwagę. Na jego miejscu bałbym się, że dostanę później wpierdol za taką gadkę”.

Funkcjonariusz zacisnął pięść i już miał się odezwać, ale mu przerwałem:

– Proszę nas zostawić, sierżancie – powiedziałem stanowczo, nie patrząc nawet w kierunku policjanta.

Zawahał się przez chwilę, ale ostatecznie wstał, mierząc Ryszarda morderczym spojrzeniem, i wyszedł. „Nigdy mu nie zapomni tej zniewagi... A mnie, że na to pozwoliłem”.

W momencie, gdy drzwi za funkcjonariuszem się zamknęły, zadzwonił telefon. Dzwonił Jonasz, żeby powiedzieć, że na komisariat na Podgórzu zgłosił się jakiś młody chłopak i twierdzi, że wie coś o sprawie na Stradomiu.

– Nie było jeszcze przesłuchania, bo gość bredził, ma pokiereszowany ryj i chyba coś z głową, może wstrząśnienie. Zabrali go na SOR. Belkotał tylko, że to był wypadek – powiedział Jonasz.

Podziękowałem przed zakończeniem połączenia i zwróciłem się do Ryszarda:

– Skoro mamy już grzeczności za sobą, przecucie mówi mi, że masz jakąś wiedzę o zdarzeniu. Co tam się stało? – Strasznie mnie korciło, żeby dowiedzieć się, kim właściwie jest i skąd ma wiedzę o „firmie”, ale intuicja podpowiadała mi, że lepiej się nie wychylać, bo i tak sam mi to opowie. Lubi się popisywać.

– To był wypadek... tak jak powiedział twój kolega – powiedział Ryszard, rozkładając z rozbrajającą miną ręce, i dodał: – Nie podsłuchiwałem, po prostu słyszałem.

– To teraz ja posłucham – odparłem bez urazy. – Od początku do końca, proszę.

Ryszard zapatrzył się w pustą powierzchnię rozdzielającego nas stołu. Trwało to dłuższą chwilę, ale postanowiłem być konsekwentny, nie ponaglać i czekać. W końcu przemówił:

– Bardzo niefortunnie się to wszystko potoczyło... Na Stradomiu doszło do makabrycznego nieszczęścia. Spędziłem noc na ławce w okolicy, ocknąłem się na dźwięk pisku opon, a potem usłyszałem głośną kłótnię. Podeszedłem bliżej i wtedy zobaczyłem stojące na ulicy auto, a obok niego dwóch szamotających się chłopaków i dziewczynę, która próbowała ich rozdzielić. W pewnym momencie jeden trafił drugiego prosto w szczękę i tamten upadł. Ten pierwszy wsiadł na niego i zaczął go niemiłosiernie okładać. Strasznie to wyglądało. Dziewczyna próbowała go odciągnąć, ale ją też uderzył i upadła. Nadal prał po twarzy leżącego chłopaka, nie wiem czy on był jeszcze przytomny. Dziewczyna krzyczała rozpaczliwie, żeby przestał, że go zabije, ale chłopak był w jakiejś furii. Wrzasnął, że rozsmaruje temu wieśniakowi mózg na beton. Wyglądało, jakby miał go zamordować, tak bez sensu... Na ulicy. Wtedy stało się coś niespodziewanego. Dziewczyna podniosła się, a w ręku trzymała jakiś kamień, chyba ukruszoną płytę chodnikową. Zamachnęła się i uderzyła nim centralnie w tył głowy napastnika. Ten zesztyniał i osunął się na bok. Wtedy podeszedłem jeszcze bliżej, nikt na mnie nie zwrócił uwagi. Uderzony kamieniem chłopak leżał cały czas na boku i coś bredził. Ten, który był wcześniej okładany pięściami, był ogłuszony, a dziewczyna, w strasznym szoku, próbowała mu jakoś pomóc. Wtedy dostrzegłem, że ona jest w ciąży. Próbowała ocucić chłopaka, pytała, czy żyje. Myślę, że oni byli parą. Nie wiem, jak doszło do całej tej sytuacji, ten drugi chłopak chyba był im obcy. Wtedy pomyślałem, że musiało pójść o jakąś straszną głupotę... Taka bezsensowna przemoc... – Ryszard zasępił się. Spuścił wzrok i mamrotał coś pod nosem, kręcąc głową z niedowierzaniem.

Miałem wrażenie, że faza upojenia powoli u niego ustępuje i zaczyna się zjazd. Nie myliłem się, bo po chwili podjął swoją wypowiedź z melancholią w głosie:

– Ta scena mną potwornie wstrząsnęła. Patrzyłem na biednego, zmasakrowanego chłopca i nie mogłem zrozumieć przyczyn tej eskalacji. Poczulem smutek, a potem złość, że taka głupota...

– Wraz z ostatnim zdaniem jego twarz stężała, a za chwilę wykrzywiła się w złowrogim grymasie. Kontynuował: – Podszedłem do tej dziewczyny i pomogłem jej podnieść chłopaka. Była w szoku i miałem wrażenie, że nie dość, że nie rozumie, co się stało, to jeszcze nie bardzo jest świadoma mojej obecności. Powiedziałem jej stanowczo, że musi się zebrać w sobie, zabrać chłopaka do auta i zawieźć do szpitala, a ja pomogę temu drugiemu. Spojrzała wtedy na niego, a ten wybełkotał coś w stylu: „zajebię cię, kurwo”, choć ledwo się go dało zrozumieć. To chyba ją zmobilizowało do oddalenia się z tego miejsca. Pomogłem jej wsadzić jej chłopaka do samochodu, był cały zakrwawiony i ledwo przytomny, i jeszcze raz zapewniłem, że pomogę temu drugiemu.

– Skoro jechali do szpitala, to nie można było zabrać i tego drugiego? – wtrąciłem zupełnie porządkowo, spodziewając się, jaka będzie odpowiedź.

Ryszard spochmurniał jeszcze bardziej. Moje pytanie nie rozzłościło go, na jego twarzy widziałem raczej niechęć wypełnienia pewnego obowiązku.

– Dziewczyna nie mogła wtedy wpaść na taki pomysł, bo jak już wspomniałem, była w szoku. Zapewniłem ją, że wezwę karetkę, bo być może jego nie można ruszać, żeby nie pogarszać sytuacji. Nie dyskutowała. Roztrzęsiona wsiadła do samochodu i odjechała w stronę Dietla, zapewniona, że udzielę pomocy.

– Ty nie wezwałeś karetki... – nie zapytałem, tylko stwierdziłem. – Wezwała ją jakaś przypadkowa osoba...

– Jestem bezdomny i nie mam komórki, poszedłem do hotelu Royal, żeby z recepcji ktoś zadzwonił ale jak się tam zbliżałem, to usłyszałem krzyk i widziałem, że już ktoś podbiegł do tego gnoja i że nad nim stoi z telefonem. Uznałem, że pomoc jest w drodze i zmyłem się. Oto cała historia.

Ryszard rozparł się na siedzeniu. Spuścił wzrok, rozmyślał o czymś, sprawiał wrażenie, że chce coś jeszcze powiedzieć, więc mogłem albo milczeć, albo spróbować sprowokować.

– Dość dramatycznie się skończyła ta przepychanka na ulicy. Chłopak jest w stanie ciężkim, nie wiadomo, czy z tego wyjdzie. Nawet jeśli, to nie skończy się to zbyt miło dla tej

dziewczyny. Może obrona konieczna, a może przekroczenie granic obrony koniecznej, trudno powiedzieć, jak to zostanie zinterpretowane. Od zarzutu nieudzielenia pomocy chroni ją tylko twoje zeznanie... – Postanowiłem sprowokować.

– Wiem, jak działa system. Ta parka to zwykli ludzie. Po tym złomie, którym jechali, i po ich wyglądzie od razu widać, że nie będzie ich stać na zatrudnienie porządnego adwokata. Dla takich jak oni nasze państwo jest bezwzględne... Wymiar sprawiedliwości bywa okrutny. Nawet jeżeli system litościwie postanowi nie karać tej dziewczyny, to tak ją wcześniej przemielili, że nigdy nie wyjdzie z traumy po tamtym zdarzeniu. Ja znam ten świat...

– Nie mogę nie zapytać. Skąd znasz? – Poruszyłem w końcu wątek, który, nie powiem, ciekawił mnie równie mocno jak opowieść o zdarzeniu.

Ryszard zamyślił się i nie odrywając wzroku od podłogi, dodał:

– Byłem kiedyś jednym z was... Pracowałem w drugiej połowie lat osiemdziesiątych w śródmieściu, miałem szansę na awans do okręgu, ale trochę się pozmieniało.

– Nie przeszedłeś weryfikacji w osiemdziesiątym dziewiątym? – zapytałem i zaraz pożałowałem, bo zabrzmiało to infantylnie.

– Nie... – odparł Ryszard, jakby zawiedziony głupotą mojego pytania. Nie miałem z czego być weryfikowany, byłem od czarnej roboty prokuratorskiej, a te sprawy z opozycją... Od tego byli inni ludzie, głęboko osadzeni. Nikt by mi nie dał takiej sprawy, bo nie byłem zaufany. Jesteś za młody, żeby pamiętać, ale uwierz mi na słowo, że w PRL zwykli przestępcy nie odlecieli na księżyc i ich też trzeba było ścigać i karać, ktoś to musiał robić. Przeszedłem weryfikację i awansowałem wewnątrz wydziału, bo po weryfikacji wakaty się pootwierały, ale ja wtedy już wiedziałem że to nie dla mnie. Otworzyła się możliwość przejścia do adwokatury, a ja miałem wystarczający staż, żeby dostać wpis i już w dziewięćdziesiątym drugim odszedłem z prokuratury bez żalu. Zacząłem swoją praktykę, a wtedy kasa to była niezmiernie mała. Było nas tak mało, mam na myśli adwokatów, że to było eldorado. Ludzie czekali w kolejkach z gotówką w zębach. Robota jak z bajki. Niestety mnie pieniądze nigdy się nie trzymały. Już w prokuraturze ostro dawaliśmy w dekiel, że o studiach nie wspomnę. Jak zacząłem pracować w adwokaturze, to już chlałem codziennie. Początkowo tylko po pracy, ale później to już waliłem nawet w robocie i niczym się nie przejmowałem. Doszło do kilku kompromitujących sytuacji, było na mnie trochę skarg i dostałem propozycję „nie do odrzucenia”, żeby pójść na odwyk. Ale ja nie chciałem o tym słyszeć i zamiast iść na odwyk, przepisałem się do okręgu warszawskiego,

gdzie nikt mnie nie znał i tolerancja dla wybryków była chyba trochę większa. A tam to już była równia pochyła. Nie wchodząc w szczegóły: wylądowałem po raz pierwszy na ulicy, trafiłem na przymusowy odwyk. Potem byłem jeszcze dwa razy na odwyku. Za każdym razem wracałem i znów waliłem wóde, i tak w kółko. Wróciłem do Krakowa jako bezdomny jakieś piętnaście lat temu, ale już z nikim tu nie miałem kontaktu. Zmieniłem się tak, że nikt mnie nie poznawał. I może dobrze, bo taki wstyd... Byłem też w areszcie, czytałem tam Oscara Wilde'a i przyrzekłem sobie, że po wyjściu wszystko się zmieni. Sam napisałem tam trochę pamiętników... – Po chwili milczenia dodał: – Zgubiłem je, jak się schlałem po wyjściu. Nie ma dla mnie już ratunku...

Patrzyłem na Ryszarda ze smutkiem. Zapytałem:

– Nie masz jakiejś rodziny, przyjaciół, kolegów z dawnej pracy? Ktoś na pewno mógłby ci pomóc...

– Nie udało mi się przez całe życie zbudować z nikim prawdziwej, głębokiej relacji. Wszystko tonęło w morzu wody i nie było rzeczywiste. Żeby komuś na tobie zależało, musisz mu pokazać, że tobie też zależy. Jeśli tak jest i to okazujesz, to ta osoba pójdzie za tobą w ogień. W innym wypadku nie powstanie więź. Gdy pijesz straceńczo, to zależy ci tylko na sobie i na chlaniu. Jak tu zbudować jakieś relacje?

Nie odezwałem się, tylko pokiwałem głową ze zrozumieniem. Ta rozmowa była dla mnie coraz bardziej przygnębiająca, bo patrzyłem na Ryszarda przez pryzmat siebie. „Czy ja mam kogoś, kto by mi pomógł, gdybym wyjechał poza linię?”.

Ryszard kontynuował:

– Był taki czas, gdy kolega, jeszcze z czasów prokuratury, próbował mi pomóc. Przyjechał do mnie do Warszawy i siedział ze mną dwa tygodnie po moim wyjściu z odwyku. Poświęcił cały urlop, jaki mu pozostał, okazał mi tak strasznie dużo cierpliwości i współczucia, że chciałem się zabić z wyrzutów sumienia, gdy odpalałem pół litra w dniu jego wyjazdu. Chciałem, żeby wypierdalał, czekałem tylko, aż sobie pojedzie, i od razu poszedłem kupić pół litra. Obaliłem go na klatce schodowej, nie doszedłem nawet do mieszkania. Piłem z gwinta i płakałem. Płakałem, bo wiedziałem, że jestem bezsilny. Wiedziałem, że tak będzie po wyjściu z odwyku, i żałowałem, że w ogóle zadzwoniłem po tego kumpla. To był ostatni raz, kiedy tak niecierpliwie na coś czekałem: żeby już mnie zostawił w spokoju i żebym mógł się napić.

Nadal się nie odzywałem, nawet gdy Ryszard zamilkł na dłuższą chwilę.

Po chwili namysłu dodał jeszcze:

– Ja teraz już niczego nie oczekuję. Nie wierzę, że czeka mnie w życiu jeszcze coś dobrego. Musisz zrozumieć, że życie bez oczekiwania na cokolwiek jest po brzegi wypełnione rozpaczą i ta rozpacz to moja codzienność. Chciałbym już umrzeć, ale nie mam odwagi skończyć ze sobą. Dlatego sukcesywnie zapijam się na śmierć i wydaje mi się, że jest już bliżej niż dalej. Ten organizm wydaje się zadziwiająco mocny i zawzięcie się broni, ale czuję, że już długo nie pociągnie. Ja od tego picia gniję... Czuję ten rozkład. Fizyczny, i co gorsza, umysłowy. Ja od tego picia zaczynam wariować... Zdarza się, że widzę przerażające postaci i słyszę głosy.

– A jak jesteś trzeźwy? Może jakbyś wytrzeźwiał, to przestałyby cię męczyć zwidy? – zapytałem.

– Marcinku, te demony pojawiają się, gdy nie piję, i czasem znikają po wypiciu... A czasem nie. Mam tego dość i jak teraz o tym myślę, to chyba jest jednak coś, na co czekam i czego wypatruję.

– Śmierci... – dokończyłem za niego cicho, a Ryszard przymknął powieki i skinął lekko głową. W takiej sytuacji trudno jest coś powiedzieć. Chciałem mu życzyć powodzenia i zapewnić, że przecież jeszcze wszystko może się dobrze potoczyć. Wiedziałem, jak głupio by to zabrzmiało, więc darowałem sobie i przeszedłem do sprawy.

– Musisz jutro złożyć zeznanie, żeby pomóc tym dzieciakom. Oni i tak będą mieli przesrane, zwłaszcza dziewczyna, ale bez twojego zeznania będzie jeszcze gorzej. Dasz radę? – zapytałem.

Ryszard ocknął się z głębokiego zamyślenia i zapewnił, że oczywiście, gdy tylko go sprowadzą, powtórzy wszystko do protokołu. Wstałem i zadzwoniłem po policjantów. Pomyślałem, że muszę jakoś zadbać o jego bezpieczeństwo, dlatego gdy pojawił się funkcjonariusz, którego wypuściłem wcześniej „na spacer”, powiedziałem:

– Sierżancie, to jest najważniejszy świadek zdarzeń na Stradomiu. Macie go odwieźć na Rozrywki i załatwić transport na jutro przed południem do firmy. Odpowiada pan za to, żeby włos mu z głowy nie spadł, i ma pan to samo przekazać dyżurnemu w izbie. Zrozumiano?

– Tak, panie prokuratorze – odparł policjant z miną obrażonej nastolatki, ale wiedziałem przynajmniej, że nie wychyli się z żadną głupią inicjatywą. Mimo to dodałem dla pewności:

– Jutro o dwunastej ma być w pełni zdrowia i w dobrej formie!

Nie czekałem już na kolejne przytaknięcie i kazałem funkcjonariuszom odprowadzić Ryszarda. Tymczasem on zatrzymał się i powiedział do mnie ściszym głosem, tak żeby policjanci stojący w drzwiach nie dosłyszeli:

– Marcin, wtedy na ulicy... tego chłopaka... ja go zabiłem. Gdy ci młodzi odjechali, to on nie był jeszcze całkiem nieprzytomny. Obrócił się na wznak, z głowy lała mu się krew, leżał w coraz większej kałuży, bełkotał, ale chyba wiedział, co się dzieje. Powiedział do mnie: „Wezwij pomoc, pieprzony menelu”. Rozumiesz? Ten gość nawet będąc w tak oplakanej sytuacji, potrafił obrazić innego człowieka. Jedyne go człowieka, który mógł mu pomóc. Moje wzburzenie wtedy eksplodowało, powiedziałem mu złośliwie, żeby spokorniał, bo umiera... Nagle jakby zrozumiał. Jego twarz... On się wtedy na ułamek sekundy śmiertelnie przestraszył. Ta zmiana... Pomyślałem w tamtej chwili, że jest młody, że to z głupoty, upił się, poniosło go, ale że chyba zrozumiał. To jednak trwało tylko moment. Przerażenie zastąpiła niepewność, a potem na jego twarzy pojawił się paskudny uśmiezek i odmalowała się cała pogarda dla mnie, dla tej pary, dla całego świata. To przelało czarę goryczy. Pochyliłem się nad nim i powiedziałem mu niemal szeptem: „Umierasz, chłopcze, skończysz swój marny żywot tu na tej ulicy. I umrzesz w samotności”. Potem podniosłem się powoli i odszedłem. Słyszałem jeszcze za sobą jakieś jego bełkotliwe wołanie, ale było coraz cichsze. Chyba mu się pogorszyło i myślę, że on dopiero wtedy faktycznie zrozumiał, że to może być jego koniec. I myślę, że to nie była najodważniejsza chwila w jego życiu, że tak powiem. – Po chwili dodał: – Ja go zabiłem w swojej wyobraźni. Ale chyba nie to jest najgorsze. Najgorsze jest to, że to mi nie przysparza najmniejszego wyrzutu sumienia... – Po tych słowach Ryszard z boleścią na twarzy wyszedł z pokoju i wraz z policjantami oddalił się do radiowozu.

”To, co robimy w naszych myślach nie jest jeszcze spenalizowane” – pomyślałem i wyszedłem z Białego Domku. Tego dnia nie wróciłem już do firmy... Musiałem się napić.

Po drodze zadzwoniłem do szefa, żeby poinformować go, że mam świadka zdarzenia. Dowiedziałem się, że w międzyczasie zgłosiła się też ta dziewczyna, ale nic nie powiedziała. Była w szoku i odstawili ją do szpitala na obserwację – trzeba dmuchać na zimne z powodu jej ciąży. Pokrótce opowiedziałem mu historię usłyszaną od Rysia i powiedziałem, że najwcześniej jutro w południe odbiorę od niego zeznania, bo pojechał na izbę wytrzeźwień. Jest dobrym szefem, nie dopytywał, skąd mam te wszystkie informacje, skoro świadek był pijany. Polecił

mi zająć się nim jutro, gdy tylko go odstawią, a dziś odpocząć. Po przesłuchaniu mam dostarczyć protokół bezpośrednio do niego i rozważymy kwestię zarzutów dla tej ciężarnej.

Padł mi telefon.

Popatrzyłem na zegarek, była piętnasta. Do firmy nie ma już co wracać, zwłaszcza, że szef dał mi wolne do jutra. „Muszę się napić” – to była pierwsza myśl. Wyciągnąłem papierosa i szukając w kieszeni zapalniczki, skanowałem już w myślach mapę najbliższej okolicy w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłbym usiąść i w spokoju obalić szybkie piwko. Jest poniedziałek, jutro praca i ważne przesłuchanie. Ryśka nie przywiozą wcześniej niż o jedenastej, więc wystarczy jak będę w pracy na 9. Myślę, że limit trzech piw na dziś sprawdzi się idealnie i jutro nie będzie nawet po mnie widać.

Ruszyłem ul. Lubicz w kierunku Rynku Głównego ale jakoś nie mogłem przypomnieć sobie żadnego wartego uwagi miejsca w tej okolicy. To jakaś pustynia pod tym względem. Komenda policji, Wojewódzki Sąd Administracyjny i biurowce. Nie ma nawet gdzie się piwa napić. Na szczęście do Rynku nie było daleko, jakieś dziesięć minut piechotą. Auto zostało na parkingu prokuratury – jutro pojedę do pracy taksówką. Trochę mnie denerwowało, że nie znalazłem żadnej miejscówki, bo pierwsza moja myśl była taka, że gdzieś tu od razu wypiję sobie jedno piwko i dopiero spacerkiem, już bardziej rozluźniony, pójdę na Rynek. Po drodze poprawiłem sobie jednak humor spostrzeżeniem, że w sumie jest dopiero piętnasta, więc do północy, kiedy powinienem się położyć, zostało jeszcze dziewięć godzin, a zatem spokojnie mogę sobie pozwolić na cztery, a nawet pięć piw. „Tak, pięć to max” – pomyślałem z powagą. Dochodziłem już do wiaduktu przy dworcu. Przed oczami miałem w oddali korony drzew narożnika Plant. Postanowiłem skorzystać z przejścia podziemnego i pójść do Kawiarni Teatralnej – takiego ogródka na tyłach Teatru Słowackiego z widokiem na Planty. To dobry wybór, bo można tam palić.

„Idealne miejsce na pierwsze piwko”.

Izba to czyściec w skróconej wersji, bo nikt tam nie trzyma klientów dłużej, niż to jest konieczne. Najczęściej po prostu leżysz i odpoczywasz. W gorszych przypadkach przypną do łóżka i podadzą kroplówkę. Generalnie nic przyjemnego. Ryszard znał dobrze to miejsce, ale po raz pierwszy był tu w tak dobrym stanie. Z ulicy nie ściągają podchmielonych ani nawet mocno wypitych, chyba że ktoś się strasznie narazi policji. Gdy tu trafił ostatnio, był

praktycznie nieprzytomny i trzeźwiał dwa dni. Dziś przyjechał chyba pozwiedzać. Do aresztu nie bardzo były podstawy, a jakby go wypuścili, to nie mieliby gwarancji, czy się potem stawi, i nie wiadomo byłoby, gdzie go szukać. Izba była najlepszym rozwiązaniem.

Ryszard podniósł się z łóżka, żeby pójść do łazienki. Musiał wezwać dyżurnego, żeby ten otworzył mu drzwi wieloosobowej sali.

– Muszę do kibla – powiedział do pielęgniarza, który zajrzał do pomieszczenia.

– No to idź, w czym problem? Jako stały klient powinieneś znać zasady. Póki nie będziesz rozrabiał, masz swobodę – odparł pielęgniarz i lekko rozdrażniony i dodał: – Nie zawracaj głowy za każdym razem, jak ci się zachce lać.

– Przepraszam, niewiele pamiętam z poprzednich odwiedzin.

Pielęgniarz roześmiał się głośno, nie zważając na to, że inni lokatorzy śpią, przepuścił Ryszarda w drzwiach i ruszył powoli za nim.

– No nie dziwię się. Tym razem jesteś w innym charakterze. Dyżurny z poprzedniej zmiany powiedział, że podobno widziałeś, kto zabił tego chłopaka na Stradomiu.

Ryszard zatrzymał się i spojrzał niepewnie na pielęgniarza

– Zabił?

Mężczyzna zrobił głupią minę, ale widząc zdziwienie Ryszarda wytłumaczył:

– Chłopak zmarł w szpitalu na Skarbowej, mówili o tym nawet w 24info. Masakra jakaś, co się w tym kraju dzieje. W biały dzień... Podobno dwóch napastników roztrzaskało mu czaszkę. Policja się chwali, że już ujęła sprawców, a z tego, co zrozumiałem, ty masz być świadkiem.

Świat wokół Ryszarda zawirował. Słowa pielęgniarza docierały do niego z trudem, jakby z innego pomieszczenia. Zakręciło mu się w głowie, po czym nagle obraz się ustabilizował. Pielęgniarza nie było. Jedyne ciemny korytarz, a w jego głębi mroczna postać. Ta sama, którą od tygodni widywał w krótkich momentach trzeźwości, i ta sama, którą poprzedniego ranka spotkał na Plantach. Zrobiła tylko jeden krok w jego stronę, ale przemieściła się o dobrych kilka metrów.

– Kim jesteś? – ledwie wydusił przerażony.

Postać zrobiła kolejny krok i wyłoniła się tuż przed twarzą Ryszarda, ale zanim zdążył jej się przyjrzeć, znikła.

– Tak długo spoglądałem w otchłań, że otchłań zainteresowała się mną – powiedział sam do siebie cicho i dodał: – Niech to się już skończy.

– Już niedługo. – Usłyszał kobiecy, trochę nierzeczywisty szept, który, co niepojęte, zdawał się pochodzić z wnętrza jego głowy. – Już niedługo, ale zanim to się skończy, musisz jeszcze odpowiedzieć na jedno ważne pytanie...

Ryszard zamarł obezwładniony strachem w oczekiwaniu na to, co usłyszy, ale sceneria nagle się zmieniła.

– To jak? Wiesz, kto zabił tego chłopaka? – Dotarło do niego wyraźnie pytanie pielęgniarki. Był znowu w ledwo oświetlonym korytarzu, a ponieważ nadal milczał oszołomiony, pielęgniarka pstryknęła mu palcami przed twarzą. – Halo! Jesteś tu? Pytałem, czy wiesz, kto zabił tego młodego wczoraj rano.

Ryszard bez słowa minął pielęgniarkę i dopiero wówczas rzucił przez ramię:

– Wiem.

Sny o poranku bywają najbardziej rzeczywiste. Jest to czas, gdy to, co wyśnione, przenika się z tym, co na jawie. Umysł jest jeszcze daleko, ale ciało zaczyna już komunikować się z nim i przekazywać bodźce ze świata realnego. Te sny mogą być mniej lub bardziej przyjemne, ale gdzieś w tle jawi się już perspektywa wybudzenia i czasami pojawia się świadomość śnienia. Miałem tego dnia o świecie szalony sen. Wszystko działo się bardzo szybko, obrazy były rozmazane, jak światła samochodów na nocnym zdjęciu. To była jakaś karuzela, ale nie w sensie dosłownym, tylko następujących po sobie i powtarzających się postaci i zdarzeń. Słyszałem głośnie rozmowy, śmiechy, dźwięki stukających o siebie kieliszków i klubową muzykę. Sen do złudzenia przypominał ostatnią fazę mocno zakrapianej imprezy na mieście, gdy do człowieka docierają już tylko migawki z otaczającej go rzeczywistości, a następnego dnia zastanawia się, jak on w ogóle w takim stanie dał radę wrócić do domu. W pewnym momencie scena przeniosła się do toalety, którą świetnie pamiętałem z wakacji w Salonikach. W tym mieście chyba był konkurs na najbardziej wyszukany projekt kibla, bo w każdej restauracji, a nawet kawiarni, można się było spodziewać niebanalnych wnętrz. Jedno miejsce zapadło mi szczególnie w pamięci ze względu na zabawną grafikę ludzików namalowaną na ścianie. W tej toalecie było też ogromne lustro i teraz ja przed nim stałem. Wcześniejsze obrazy

snu w żaden sposób nie sugerowały że jestem w Grecji, raczej był to Kazimierz, ale nie należy wymagać jakiejś szczególnej konsekwencji od świata snów.

No więc stałem przed tym lustrem i widziałem siebie, takiego jak zawsze, gdy jestem pod mocnym wpływem alkoholu. Coś w wyrazie twarzy się wtedy zmienia i już na pierwszy rzut oka można rozpoznać ten stan. Znikają skupienie i stres, a pojawia się nadmierne rozluźnienie. Najbardziej widać to w spojrzeniu. Uśmiechnąłem się do siebie zadowolony z tego stanu, ale osoba w lustrze nie uśmiechnęła się, a wręcz spochmurniała. Natychmiast zorientowałem się, że nie widzę siebie. Ten ktoś tylko wyglądał jak ja i patrzył na mnie surowo. Owładnął mną narastający z każdą kolejną sekundą niepokój. Postanowiłem przemyć twarz, nachyliłem się nad umywalką i przyłożyłem mokre ręce do skroni. Wyprostowałem się i stałem tak dłuższą chwilę z rękami na twarzy zasłaniającymi oczy. Przytłumiona muzyka, którą dotąd słyszałem, ucichła, a niepokój powoli zaczynał przeradzać się w strach.

– Widzę cię... Widzę, co ze sobą robisz... – To był mój własny głos. Zamarłem. Gwałtownie opuściłem ręce z twarzy. W miejscu mojego odbicia w lustrze spoglądał na mnie brodaty starzec z wyniszczoną twarzą, ubrany w zimową kurtkę i czapkę. Ryszard. Patrzył na mnie przez kilka sekund z wyrzutem, a potem otworzył usta i zapytał moim własnym głosem: – Czy ty planujesz się zabić, chłopcze?

Otworzyłem oczy.

Pierwsze uczucie dezorientacji zniknęło, gdy dotarło do mnie, że jestem w swoim mieszkaniu. To ulga. Fakt, że spałem w ubraniu na kanapie, nie zwiastował natomiast niczego dobrego.

„Która godzina?!”

Wyciągnąłem z kieszeni rozładowany telefon i już wiedziałem, że nie jest dobrze. Słońce mocno wtargnęło już do wnętrza salonu, co mogło oznaczać tylko jedno – że mocno zasnąłem. Podniosłem się, żeby zobaczyć zegarek na kuchence i zakręciło mi się w głowie. Co ciekawe, wcale nie miałem kaca, a to mogło znaczyć tylko jedno – że nadal byłem pijany. Podszedłem do kuchenki i zobaczyłem, że jest wpół do dziesiątej. Ciśnienie momentalnie mi podskoczyło.

„Kto chodzi chlać w poniedziałek?! Szef mnie zajebie, miałem być o dziewiątej w firmie...”

Podłączyłem telefon do ładowarki i zacząłem analizować sytuację. W każdy inny dzień mógłbym wziąć urlop na żądanie i nic by się nie stało, pod warunkiem że poinformowałbym o

tym w firmie przed godziną rozpoczęcia pracy. Jak teraz powiem, że biorę L4, to będzie jasne, że zapiełem. Założę się, że ktoś już do mnie dzwonił i ocaliło mnie tylko to, że bateria padła. Musiałbym wymyślić jakąś dobrą wymówkę, ale czy to będzie wiarygodne?

– Ekhm... Nie mogę dziś się pojawić ze względu na nagłe okoliczności – powiedziałem głośno i usłyszałem, jak żałośnie to brzmi. Miałem zachrypnięty, pijacki głos. Tak zmieniony, że sam go nie rozpoznawałem. To nie przejdzie, a na L4 już jest za późno. Jakbym wstał rano chory to do dziewiątej już dawno bym o tym poinformował w pracy.

„Poza tym, kurwa... Mam do przesłuchania kluczowego świadka, którego sam znalazłem dosłownie w stogu siana. Nie mogę pozwolić na to, żeby ta sprawa przypadła komuś innemu”. Wyobraziłem sobie, jak jebany Romeczek dostaje to przesłuchanie i zgarnia wszystkie należne mi laury.

„Ja pierdołę! Jestem debilem... Nie mogłem sobie odpuścić? Miałem dobry plan, pięć piw i do domu. Co we mnie wstąpiło?”. Przed oczami przewinęły mi się migawki z wczorajszego wieczoru: nie dość że nie skończyło się na pięciu, to w ogóle nie skończyło się na piwie. Ten zachrypnięty głos to efekt kilku szotów wiśniówki.

„A nie przyszło ci w ogóle do głowy, żeby nie pić?” – ta myśl przemknęła tak szybko, że nawet nie zwróciłem na nią większej uwagi. „Dobra, nie ma co roztrząsać, trzeba coś szybko wymyślić”.

Postanowiłem, że jednak pojedę do pracy i zrobię to przesłuchanie. Nie będę już włączał komórki. Udam, że się zepsuła i dlatego się spóźniłem. Chyba wszyscy korzystają z budzika na telefonie, więc to zabrzmie odrobinę wiarygodniej. Zdążę jeszcze pójść na naradę do szefa przed przesłuchaniem. Muszę tylko najpierw doprowadzić się do stanu używalności. Wtedy nawet jeżeli zauważy, że było pite, to pomyśli, że z umiarem, skoro jestem na chodzie, i jakoś to będzie. W firmie nie ma świętych, szef też zagląda do kieliszka, nie będzie robił scen.

„O której i jak ja w ogóle wróciłem?”. Oddaliłem od siebie te pytania, to teraz mniej ważne. Przede wszystkim muszę się ogarnąć. Na szczęście w tym akurat mam pewne doświadczenie.

Po pierwsze: prysznic. Szybki, ale zakończony minutową kuracją polegającą na przemiennym puszczaniu gorącej i lodowatej wody, po dziesięć sekund na każdą fazę. Skóra na ciele rozluźnia się i spina na zmianę, a krew zaczyna szybciej krążyć w żyłach, odganiając resztki snu. Po wyjściu z takiej kuracji przynajmniej przez chwilę czujesz się jak młody bóg.

Po drugie: perfumy. Na takie okazje mam specjalność, której oczywiście nie używam na co dzień – zapach czystej wanilii. Pachniesz jak kobieta, ale jest coś specyficznego w tym kosmetyku, że perfekcyjnie maskuje odór parującego ze wszystkich porów alkoholu. Trik, który wyczytałem w jakimś kryminale, o dziwo sprawdzał się świetnie.

Po trzecie: pięć ziaren kawy. To moje odkrycie, również z jakiejś książki. Aby zatrzymać wydzielanie woni trawionego alkoholu dobywającej się z ust przy każdym oddechu, trzeba zjeść pięć całych ziaren kawy. Bez żadnego mielenia, normalnie pogryźć, przeżuć i połknąć. Nie jest to smaczne, ale piekielnie skuteczne. Są jakieś naturalne związki chemiczne, które wchodzi w jakąś reakcję. Kompletnie się na tym nie znam, ale to działa.

Po czwarte, ale równie ważne: ketonal. Jeszcze nie czuję bólu głowy, ale za dwie, trzy godziny wjedzie kac i wtedy będzie mi chciało rozerwać łeb. Wówczas już będzie za późno. Biorę więc jedną tabletkę teraz i dodatkowo po jednej co półtorej godziny. Wszelki ból, który się pojawi, będzie ledwo wyczuwalny, jakby za przesłoną. To absolutnie akceptowalny poziom bólu, do zniesienia i niedekoncentrujący. Bo takie jest chyba ostatecznie zadanie lekarstw, żeby życie było w większym stopniu możliwe do zniesienia.

Ze śniadania tym razem rezygnuję. Gdy masz być na chodzie, a nie wiesz jeszcze, czy nie będzie wymiotów, to lepiej pozostawić żołądek pusty. Zjem dopiero, gdy wjedzie kac.

Auto zostawiłem wczoraj pod prokuraturą, ale i tak nie było mowy o prowadzeniu, więc jedyną opcją na szybki transport pozostawała taksówka. Pojawił się problem techniczny, bo miałem cały czas wyłączony telefon, a stacjonarnego nie miałem już od lat. Na szczęście przypomniałem sobie, że na Bernardyńskiej pod Wawelem jest postój i szybko wybiegłem z mieszkania. „Kiedy ostatnio brałem taxi z postoju? Chyba ze dwadzieścia lat temu...”

Na miejscu byłem kwadrans po dziesiątej, z gotową historyjką o zepsutym telefonie, budziku, który w związku z tym nie zadzwonił, i ewentualnie złym samopoczuciu spowodowanym zatruciem pokarmowym na skutek zjedzenia wczoraj ostrego kebaba. Mimo to wchodziłem jednak z pewną bojaźnią do budynku prokuratury, nie wiedząc do końca, co mnie czeka. Na miejscu było spokojnie, niepokojąco spokojnie. Postanowiłem jakby nigdy nic podejść do pokoju asesorów i zapytać Jonasza, kiedy Ryszard zostanie przywieziony na przesłuchanie. Nie czułem się zbyt dobrze, ale sprawiałem normalne wrażenie.

– Jesteś wreszcie! – Jonasz się poderwał, gdy tylko mnie zobaczył, i idąc w moją stronę, pokazał konfidencjonalnie brodą w stronę drzwi. Na korytarzu zaczął rozgorączkowany: – Dzwoniłem chyba ze sto razy, ale uruchamiała się poczta.

– Komórka mi się zepsuła... – Rozpocząłem przygotowaną historyjkę.

– Nieważne. Zaraz po siódmej zadzwonili z izby, że ten twój świadek się awanturuje, że chce widzieć się z naczelnikiem, bo ma ważne informacje dotyczące śmiertelnego wypadku na Stradomiu.

– Jak to śmiertelnego? – przerwałem mu, a Jonasz tylko przewrócił oczami.

– W nocy poszkodowany zmarł w szpitalu na skutek obrażeń głowy. Kwalifikacja prawna nam się zmieniła. Rany, ty nic nie wiesz, pisałem do ciebie...

W odpowiedzi wzruszyłem bezsilnie ramionami.

– Nieważne – rzucił gorączkowo Jonasz i kontynuował: – sęk w tym, że ten świadek awanturował się tak bardzo, że prokurator dyżurujący posłał po niego niebieskie taxi. Ty miałeś go przesłuchać w południe, ale on się domagał natychmiastowej rozmowy z naczelnikiem. Oczywiście nikt tu nie ściągał szefa dla jakiegoś menela, ale ponieważ jest świadkiem w sprawie być może o zabójstwo, to zastępca się pofatygował.

– Romeczek? – wyrwało mi się na głos i pomyślałem: „Wiedziałem, że to się tak skończy, ja tego Ryśka wynalazłem, a Romeczek dostanie sprawę”.

– Tak. Romek go przesłuchał i zaraz po przesłuchaniu i naradzie z szefem postawił mu zarzuty.

– Jakie, kurwa, zarzuty?! O co?! – zatkało mnie.

– Na początek pobicie ze skutkiem śmiertelnym, a podejrzany...

– Co takiego?! – przerwałem.

– Posłuchaj do końca. Podejrzany przyznał się do winy. Mamy to w protokole. Przed zeznaniem wydmuchał zero promili. Znalazłeś sprawcę, Marcin! Wszyscy się zastanawiają, skąd ty go wczoraj wytrzasnąłeś. Od psów mamy plotkę, że wpadłeś na niego w monopolowym na Miodowej, to prawda?

Patrzyłem na emocjonującego się tą sprawą Jonasza i co prawda słyszałem jego słowa, ale przechodziły one przeze mnie na wylot. „Co tu się odpierdala?”. Z zamyślenia wyrwał mnie Jonasz:

– Dzwoniłem do ciebie rano, żeby ci to przesłuchanie nie przepadło, ale niestety Romek cię ubiegł. Ale nie martw się, i tak wszyscy wiedzą, że to twoja robota.

– Gdzie jest ten Ryszard? – zapytałem, ignorując słowa kolegi.

– Zabrali go na Monte, dostęp ma tylko Romek i szef. Dla ciebie jest zadanie, żeby przesłuchać tę parkę, która tam też była, jak wyjdą ze szpitala. Szef kazał Ci przyjść do siebie, jak tylko się pojawisz.

– Dzięki, skontaktuj się, proszę, ze szpitalem i sprawdź, kiedy ci świadkowie będą mogli zeznawać. Jak będzie już wiadomo, to zorganizuj im transport przez policję. Nie chcę ich potem szukać po mieście.

– W Alkoholach Corleone? – dodał Jonasz z rozbawieniem. – Żart, oczywiście, już się tym zajmuję!

Po drodze do gabinetu szefa poczułem, że nadchodzi kac i że lekko nie będzie. Miałem bardzo niepewny żołądek i nasilający się mimo ketonalu ból głowy. Wyciągnąłem z kieszeni blister i połknąłem kolejną tabletkę. Zastanawiałem się, co mnie czeka w gabinecie.

„Czy ja się wczoraj dałem nabrać temu Ryśkowi?”

– Jesteś wreszcie! – niemal wykrzyknął szef, gdy zobaczył mnie w drzwiach, i natychmiast dodał, wskazując na krzesło: – Siadaj!

Przywitałem się z nim i z Romeczkiem, który jak każdy wierny kundel, był oczywiście pod ręką. Czuję, że muszę jakoś wyjaśnić różnice między tym, czego się dowiedziałem dzisiaj, a tym, co opowiedziałem wczoraj szefowi przez telefon. Zacząłem zakłopotany:

– Panie naczelniku, jeśli chodzi o naszą wczorajszą rozmowę to...

– Świetna robota! – przerwał mi szef i nie pozwalając wejść w słowo, kontynuował: – Nikt nie ma pojęcia, jak znalazłeś sprawcę. Od Jonasza wiemy, jak dowiedziałeś się o tym pijaku, ale skąd wiedziałeś, gdzie go szukać?

Szef sprawiał wrażenie, jakby wczorajszej rozmowy nie było. Nic z tego nie rozumiałem, ale póki co zaspokojenie pychy było ważniejsze. Musiałem się pochwalić.

– Mieszkam niedaleko i jest to jedyny otwarty całą dobę monopolowy w okolicy. Widuję tam pielgrzymki bezdomnych, bo sprzedawca jest, jakby to powiedzieć, z ich środowiska i chyba

po prostu czują się tam lepiej. Pomyślałem, że jeśli nasz świadek faktycznie coś widział, to po całej tej akcji mógł zapragnąć się czegoś napić. To jedyne miejsce, gdzie o tej godzinie można szukać ratunku. Miałem też trochę szczęścia – dodałem skromnie, widząc zawistne spojrzenie Romeczka.

– Szczęście sprzyja najlepszym – skwitował naczelnik. – Masz nos rasowego śledczego. Podoba mi się to. Dobrze zrobiłeś, że odesłałeś go wczoraj na izbę... – tu szef położył mocniejszy akcent na wypowiedzane słowa – ... b e z p r z e s ł u c h i w a n i a , bo teraz mielibyśmy problem proceduralny – kończąc tymi słowami, znacząco patrzył mi w oczy. „Nie powtórzył Romeczkowi tego, o czym mu wczoraj opowiedziałem”. – Przesłuchanie podejrzanego miało być twoje, ale sprawy się pokomplikowały, bo klient chciał się szybko przyznać i nie mogliśmy z tym czekać.

– Trzeba kuć żelazo – wtrącił bezsensownie Romeczek, bo chyba mu doskwierało, że w żaden sposób nie uczestniczy w rozmowie.

– Tak. Romek, przedstaw w skrócie wyniki przesłuchania – polecił naczelnik.

– No więc tak... – zaczął Romeczek i wziął do ręki teczkę z protokołem – Nasz menel zeznał, że wczoraj był na Stradomiu, kiedy doszło tam do przepychanki pomiędzy jakimś chłopaczkiem, jego ciężarną dziewczyną i tym typem, który w nocy zmarł. Nie wie, o co poszło, ale było mordercze, on to zobaczył i chciał pomóc chłopakowi, którego ten, co teraz nie żyje, okładał. Menel powiedział, że wyglądało to, jakby chciał go zabić i że coś takiego właśnie wykrzykiwał. Przemeblowany ryj tego chłopaka potwierdza ten fragment zeznań. Napastnik był bardzo agresywny, dlatego pijaczek stwierdził, że nie rozdzielił chłopaków w konwencjonalny sposób, bo sam może stać się ofiarą, więc wybrał sposób niekonwencjonalny, to znaczy podniósł z ziemi wykruszony kawałek płyty chodnikowej, zaszedł napastnika od tyłu i uderzył go ostrą częścią z całej siły w głowę. – Romeczek wziął głęboki oddech i kontynuował: – Napastnik osunął się na ziemię, a menel pomógł wstać skatowanemu chłopakowi i razem z dziewczyną zapakowali go do samochodu, który stał na środku jezdni. Co istotne, pijaczek podkreślił, że dziewczyna chciała zabrać do szpitala ich obu, ale odradził jej ten pomysł, bo chłopak mocno krwawił i mógł mieć jakiś uraz wymagający pomocy tu na miejscu. Zapewnił ją, że wezwie karetkę. – Romeczek przerwał i spojrzał na mnie znacząco, a szef ze zrozumieniem pokiwał głową. Wszyscy jesteśmy karnistami i żaden z nas nie musiał mówić, jak ten fragment zeznania jest ważny dla kwalifikacji zachowania dziewczyny. Nikt z nas nie chciał jej robić krzywdy, a Ryszard tym zeznaniem ułatwił nam zadanie w kwestii

ewentualnego nieudzielenia pomocy. – Następnie parka odjechała, a on udał się do hotelu Royal, żeby z recepcji zadzwonili po karetkę. Gdy tam siedł, usłyszał, że już ktoś jest przy poszkodowanym i dzwoni z komórki, więc uznał, że nic tam po nim i uciekł ze strachu przed odpowiedzialnością. I to by było na tyle.

– Mamy jakieś inne dowody? – zapytałem. – Wczoraj sprawdzaliśmy monitoring.

– Z monitoringiem mamy pecha, bo jest tak ustawiony, że widać tylko dalszą część jezdni w stronę Dietla, a zdarzenia miały miejsce na początku, bliżej Wawelu. Na nagraniu widać dopiero moment, gdy samochód odjeżdża. Jak sam wiesz, żadnych innych świadków nie było, bo przesłuchaliśmy chyba wszystkich z okolicy. Mamy zatem zeznanie podejrzanego i tę parkę, których jeszcze nie mogliśmy przesłuchać ze względu na stan psychofizyczny. – Romeczek popatrzył na szefa dając mu znak, że to wszystko.

– I to jest twoje zadanie – podjął naczelnik. – Masz przesłuchać oboje, tak żeby wersja menela, i co ważne, k w a l i f i k a c j a p r a w n a się potwierdziły. Nie chcemy z tą sprawą żadnych komplikacji. – Szef zaakcentował słowa z sugestywną miną.

– A obrona konieczna? Stan wyższej konieczności? Zapominamy o tych instytucjach? – zapytałem ironicznie, ale widząc surowy wyraz twarzy szefa, pożałowałem zanim jeszcze skończyłem zdanie.

– Romek, zostaw nas na chwilę – powiedział naczelnik, zwracając się do swojego zastępcy. Ten z szyderczym uśmiechem przeszedł do swojego gabinetu drzwiami łączącymi oba pomieszczenia. Gdy drzwi się za nim zamknęły, szef podjął nieprzyjemnym ale spokojnym tonem: – Zarzuty postawił Romek i to on będzie pisał akt oskarżenia, więc ty się kwalifikacją prawną nie kłopot. Ja tylko nie chciałbym, żebyś poprowadził przesłuchanie w stronę jakichś głupot. Jak sąd będzie chciał go uniewinnić, to sobie sam to pokieruje i weźmie na siebie odpowiedzialność. Zmarły chłopak, z tego co ustaliliśmy, to agresywny pojeb z historią w naszych kartotekach, ale ma wpływowego starego i nie możemy na etapie prokuratury umorzyć tego postępowania. Sprawa jest o pobicie ze skutkiem śmiertelnym, a nie o zabójstwo, więc menelowi może też jakaś wielka krzywda się nie stanie, a zresztą co ci do tego?

– Chodzi mi po głowie to, co panu opowiedziałem wczoraj...

– Marcin! Gównu mnie obchodzi, co ten żul ci tam wczoraj po pijaku naopowiadał! Dziś się przyznał i ja nie zamierzam wygłupiać się ze śledztwem przeciwko uczciwym ludziom, którzy

najprawdopodobniej zostali napadnięci, a tym bardziej przeciwko młodej dziewczynie w ciąży. Nie ma na to najmniejszych szans! Czy to jest zrozumiałe?

Skinąłem głową na znak zgody, bo treść żołądka zaczęła mi podchodzić do gardła. Bałem się, że jeżeli ta rozmowa się jeszcze przeciągnie, zwymiotuję na wykładzinę.

– Dobrze – powiedział już znacznie łagodniej szef. – To do roboty.

Wstałem, ale w drodze do drzwi zadałem jeszcze jedno pytanie:

– Dlaczego mi to pan zleca? Przecież Romek mógłby ich przesłuchać tak, żeby wszystko pasowało. Myślę że on nie miałby problemu nawet z zanieśieniem im do podpisu gotowych protokołów – wypowiadając te słowa, zastanawiałem się, czy nie przegiąłem, ale wewnątrz gotowało się we mnie. To były resztki oporu przed sprzeniewierzeniem się prawdzie.

– Marcin, nie może być tak, żeby odpowiedzialność za wszystko brała jedna osoba. Nawet tak posłuszna jak Romek.

„Chcę mieć gwarancję, że potem nie zrobię żadnej głupoty. Jak wykonam to polecenie, to jestem współtwórcą aktu oskarżenia”.

Na szczęście żaden ze świadków nie był jeszcze gotowy na zeznawanie. Dzięki temu mogłem spędzić resztę dnia na udawaniu, że jestem bardzo zajęty. Obłożyłem się nawet na biurku jakimiś aktami, na wypadek, gdyby ktoś wpadł z jakąś sprawą do mojego gabinetu. Z wielkim, udawanym smutkiem na twarzy wskazałbym mu wówczas tę stertę, co zastąpiłoby tysiąc wymówek. W rzeczywistości do końca dnia lewitowałem pomiędzy życiem a niebytem, w totalnej rozsypce. Łyknałem kolejny ketonal i zrobiłem sobie wycieczkę do sklepu po papierosy i colę. Szlugi nie mogły pomóc, ale przynajmniej były pretekstem do zrobienia sobie przerwy w objaniu się. Za to cola pomogła. Nie dość, że jest wspaniałym remedium na bezustanne pragnienie, to jeszcze astronomiczna ilość cukru, którą zawiera, pomaga organizmowi przepłynąć przez niespokojne morze kaca. Koło siedemnastej upewniłem się jeszcze u Jonasza, że moi świadkowie są nadal niedostępni, i z ulgą opuściłem prokuraturę.

Nie zastanowiwszy się nawet, czy jestem już całkowicie trzeźwy, wsiałem w samochód i ustawiłem się w korku do świateł na al. Pokoju, a za nimi w kolejnym korku do ronda Grzegórzeckiego, z którego można już zjechać do korka na Grzegórzeckiej, prowadzącego

mnie płynnie do docelowego korka na Dietla. A większość z tego na jednym pasie w przemiłym towarzystwie rowerzystów śmigających ścieżką, która jeszcze niedawno była jezdnią.

„Jebani ekolodzy”.

Gdy dotarłem do domu, natychmiast powiodłem swoje nieomyślne kroki do spożywczego, żeby kupić królową leków na kaca – zimną, złącistą ciecz. Jako że przewidziałem dalsze zdarzenia, bo znam siebie i staram się sam siebie nie oszukiwać, wziąłem trzy puszki, żeby później co chwilę nie latać po kolejne. Do tego wkładę do elektronicznego papierosa, bo przy piwku wypada zapalić, a nie przepadam za dymem papierosowym w mieszkaniu, bo źle mi się wtedy śpi. Ponieważ w domu nie było nic do jedzenia, postanowiłem zgarnąć burgera z narożnego street fooda i gotowy na wieczór mogłem wracać do mieszkania.

W tym stanie wykluczone było zrobienie czegokolwiek kreatywnego, nawet czytanie książki wydawało się męką, więc postanowiłem nie robić sobie złudzeń, których skutkiem mogą być później co najwyżej wyrzuty sumienia, i założyłem, że do zaśnięcia będę oglądał seriale, popijając piwo i paląc e-papierosa.

Gdy dotarłem do mieszkania, zacząłem od piwa. Głód jest w tym stanie zdecydowanie niżej w piramidzie potrzeb. „A może nie tylko w tym stanie? Może to już transfer na stałe?”.

Zacząłem myśleć o poranku i nie doprowadziło mnie to do żadnych dobrych wniosków. Znowu zawałem coś ważnego przez swoją własną głupotę. To mogło wyglądać zupełnie inaczej. Mogłem rano przesłuchać Ryszarda, mógłbym teraz się triumfalnie napić, a Romeczek czekałby na przesłuchanie tych świadków. „Jesteś debilem, Marcin”.

Otrząsnąłem się z tych wspomnień. Uznałem, że nie mogę cofnąć tego, co się wydarzyło i że zadręczanie się nie ma sensu. „Ile to już razy karmiłem się tym frazesem? A może jednak ma sens bo może cię to, debilu, uchroni przed kolejnymi debilizmami!”.

Odrzuciłem te myśli, a umysł podstawiał mi od razu temat zastępczy. Przypomniałem sobie wczorajszą rozmowę z Ryszardem i zacząłem się zastanawiać, czy mogłem dać się tak wyprowadzić w pole.

„To niemożliwe, zwęszyłbym nieszczerość. Znam się na tym. Ale jeśli mówił wczoraj prawdę, to co się odpiardoliło dziś rano? Czy Romeczek zmusił go do przyznania się? Niemożliwe, to by nie pasowało do opowieści Jonasza o tym, że Ryszard sam domagał się jak najszybszego

przesłuchania. Poza tym Ryszard nie był gościem który dałby się do czegokolwiek zmusić, raczej zjadłby tego durnego Romeczka na śniadanie... On postanowił obronić tę dziewczynę!” – ta myśl mnie spiorunowała, ale to było jedyne wytłumaczenie. Wczoraj Ryszard wyraźnie cierpiał na samo wspomnienie o kłopotach, jakie czekają tę spodziewającą się dziecka parkę z tego tylko powodu, że znaleźli się w złym miejscu, w złym czasie, a do tego pochodzą z nizin społecznych. Ryszard coś o tym wiedział, zarówno jako były oskarżyciel publiczny, jak i obecny członek klasy żebraczej.

„I co ja mam teraz zrobić?”.

Nigdy nie chciałem być narzędziem do wykonywania poleceń, zwłaszcza gdy wiem, że nie mają nic wspólnego z prawdą i uczciwością. Nie żebym marzył o roli ostatniego sprawiedliwego, ale jakoś lepiej jest mi o sobie myśleć dobrze, jeśli opieram się na jakichś zasadach. „Jeżeli będę drażył prawdę, to zrobię krzywdę tej dziewczynie, zniweczę poświęcenie Ryszarda i co najgorsze... niemiłosiernie wkurwię szefa” – sama ta myśl odrobinę mnie rozbawiła, ale nadeszła wraz z ostatnim łykiem trzeciego piwa. Nie byłem jeszcze gotowy na koniec, więc postanowiłem podejść do sklepu, żeby coś dokupić.

Kac następnego dnia był delikatny, tak jak się spodziewałem. Gdy się pije kolejny dzień z rzędu, to każda następna kara jest lżejsza. Można normalnie wstać, zrobić poranny trening i iść do pracy jak człowiek. Nikt nawet nie będzie podejrzewał, że wczoraj wypiełeś pięć czy siedem piw – dawkę po której normalni ludzie biorą urlop na żądanie.

Można tak ciągnąć bardzo długo, a od tamtego feralnego dnia minęło już trzy tygodnie i właśnie tak co do zasady wyglądało moje życie. Weekend to picie, w poniedziałek straszliwe zmęczenie, wieczorem przerwa, wtorek wyętzona praca bez picia, środa to kluczowy dzień, zapierdziel od rana do wieczora, a po południu już myśli kołaczą do drzwi jakiegoś baru. To miasto zawsze jest gotowe, żeby przyjąć do swych gościnnych tawern. Od środy do niedzieli to już zwykły cug z różnym natężeniem. Sprowadzało się do tego, że na pięć dni pracy faktycznie robiłem coś przez dwa dni, a reszta to już takie przemykanie blisko ścian. Ale najzabawniejsze jest to, że mimo tego, że piłem pięć razy w tygodniu, nadal mogłem wykonywać swoje obowiązki należycie, a do tego uprawiać sport każdego ranka i w ogóle, prezentować się jak zdrowa komórka społeczeństwa.

Zasze wydawało mi się, że ludzie, którzy tak piją, są życiowymi rozbitkami i szybko lądują w szpitalu lub na ulicy, a okazuje się, że można sobie tak spokojnie żyć, robić mniejszą lub większą karierę, i co najważniejsze, nie zwracać na siebie żadnej uwagi. Trzeba tylko wystrzegać się takich ekscesów, jak wtedy po przesłuchaniu Ryszarda – nie można kompletnie pójść w tango. Ale w moim przypadku, z utrzymywanym stałym tygodniowym poziomem alkoholu we krwi, pokusa większych ekscesów wcale nie przychodziła.

Przypomniałem sobie, że już kiedyś czytałem o ludziach, którzy tak funkcjonują; alkoholikach, którzy na pierwszy rzut oka żyją normalnie. Dla odświeżenia pamięci wpisałem kilka fraz w wyszukiwarce telefonu i szybko trafiłem na artykuł dokładnie o tym zjawisku. Za Wikipedią: „Alkoholicy wysoko funkcjonujący, czyli HFA (ang. High Functioning Alcoholics), to grupa pacjentów z problemem alkoholowym o bardzo specyficznym obrazie uzależnienia. Z pozoru prowadzą życie, o jakim większość osób mogłaby marzyć, są zaradni, lubiani, otaczani szacunkiem. W przeciwieństwie do »zwykłych« alkoholików z powodzeniem funkcjonują na wszystkich polach społecznych: zawodowym, rodzinnym, towarzyskim (stąd określenie alkoholicy wysoko funkcjonujący). Poza tym, że lubią zakrapiane imprezy i samotne wieczory z butelką whisky, ich zachowanie nie wzbudza żadnych podejrzeń”.

Dalej w tym artykule mowa była o tym, że taki stan może trwać latami, a otrzeźwienie najczęściej przychodzi wraz z jakimś wypadkiem lub kompromitacją. „W sumie byłem już blisko takiej kompromitacji w miejscu pracy”.

Czytałem dalej na ten temat i doszedłem do wniosku, że mam już wszystkie objawy alkoholizmu w wariantcie wysoko funkcjonalnym za wyjątkiem jednego – wyparcia. Nie uciekam od tego, jestem świadomy, że piję dużo, może nawet zbyt dużo. A ponieważ jestem tego świadomy, to nie jest tak źle. Mnie tak jest po prostu dobrze. Wiem jednak, że nie można tak ciągnąć w nieskończoność, bo to się prędzej czy później odbije na zdrowiu. Ostatecznie na wątrobę nie pomoże codzienny poranny jogging.

„Ja sobie jeszcze troszkę tak popiję, a potem rzucę to w pizdu... może już od nowego roku”.

Jeżeli chodzi o sprawę ze Stradomia, ostatecznie postanowiłem się nie wychylać i rozegrałem temat tak, że szef mógł tylko cmoknąć z zachwyty. Chłopaczek, któremu ten zmarły przemodelował ryj, nic nie pamiętał i nic nie widział. Miał wstrząśnienie mózgu i ogólnie trzeba było mu tylko przypomnieć, żeby do protokołu zeznawał tylko to, co faktycznie pamięta i co

faktycznie widział, czyli że został napadnięty itd. Nie przyszło mu do głowy opowiadać żadnych głupot, bo w pierwszych słowach, niezgodnie ze sztuką i oczywiście poza protokołem, poinformowałem go, że mamy już wszystko wyjaśnione, wiemy że zostali napadnięci, a obrażenia napastnikowi zadał przypadkowy przechodzień, ogólnie nic nie mamy do niego i jego dziewczyny, chodzi tylko o potwierdzenie tych faktów. Chłopak nie jest głupi i chyba miał już do czynienia z organami państwa, bo intuicja słusznie kazała mu potakiwać i się nie wychylać.

Trochę trudniej było z dziewczyną, bo choć od początku uprzedzona o tym, że wszystko już wiemy i nie trzeba nam nic wyjaśniać, wydawała się bardzo niespokojna. Z naciskiem właściwym dla śledczego wydziału kryminalnego, okazałem zrozumienie dla tego, że cała sytuacja spowodowała u niej szok, przez co trafiła na obserwację do Kobierzyna i oczywistym jest, że pewnie niewiele pamięta. Jeszcze raz zaznaczyłem, że jest ofiarą tej sytuacji, a zmarły chłopak miał pecha, bo przytrafiło mu się nieszczęście, na które niestety sam sobie zasłużył. Dziewczyna nie pisnęła słowem, żeby historia z napaścią przebiegła inaczej, niż to nakreśliłem, więc ostatecznie do protokołu wpisałem własne słowa, starając się jedynie nadać im bardziej potoczny wyraz. Nie chciałem, żeby ktoś potem śmieszkował sobie z tego, że w protokole zeznanie zapisane jest z wykorzystaniem specjalistycznych sformułowań procesowych.

Najlepszym przykładem jest znana w naszej prokuraturze historia, gdy sędzia podczas rozprawy głównej podważył wiarygodność fragmentu protokołu z zeznaniami świadka, ponieważ pięć stron zapisanych było językiem potocznym, a nagle gdzieś w środku, ni stąd ni zowąd, pojawiło się z sformułowanie: „po tych słowach Marek P. pochwycił przygotowane uprzednio niebezpieczne narzędzie w postaci noża marki Butterfly, a następnie ze z góry powziętym zamiarem zabicia lub spowodowania ciężkiego uszczerbku na zdrowiu Janusza G. przystąpił bezpośrednio do czynu, zadając mu ranę kłutą w klatkę piersiową”. No jaja były wtedy nieziemskie, a ten co pisał ten protokół, spalił się chyba ze wstydu.

Ja takiego upokorzenia sobie nie życzyłem, więc opisałem wszystko językiem tej dziewczyny, przynajmniej w sposób, który wydawał mi się adekwatny. Uspokoilem ją, że wszystko będzie dobrze i że być może będzie musiała to jeszcze powtórzyć przed sądem, ale nie wiadomo, bo wobec przyznania się podejrzanego zostanie najprawdopodobniej zastosowany tryb skazania bez rozprawy, a decyzja w tej sprawie zostanie podjęta przez prowadzącego śledztwo i sąd.

„Proszę, Romeczku, wysmarowałem ci protokoły, które chciałeś, teraz ty będziesz się pocił nad tym, jak to przepchnąć przez sąd”.

Z rozmowy nie dowiedziałem się ostatecznie, czy był jakiś racjonalny powód tej przepychanki, która skończyła się tragedią. Dziewczyna powiedziała, że jej chłopak bardzo późno w nocy, a raczej wcześniej rano, skończył pracę na kuchni w jednej z restauracji na Rynku, gdzie odbywała się jakaś impreza dla turystów, dlatego postanowiła odebrać go samochodem, żeby nie musiał tłuc się tramwajem. Gdy mijali Wawel, przed samochód wbiegł im ten chłopak i wykrzykiwał jakieś obelgi. Jej partner wysiadł z auta i doszło do szarpaniny. Nie miało to żadnego głębszego uzasadnienia, nie znali się wcześniej. Chyba Ryszard miał rację, że to po prostu była bezsensowna przemoc w czystej postaci...

Na koniec przesłuchania dziewczyna zapytała mnie zmartwiona, czy temu facetowi, który im pomógł, coś grozi. Nie chciałem jej okłamywać, ale nie mogłem też wywołać stanu, który wzmógłby wyrzuty sumienia i skłonił w ostateczności do jakiejś brawurowej decyzji w postaci zmiany złożonych zeznań. Wiedziałem już, że gdybym normalnie ją przesłuchał, to opis zdarzeń byłby całkowicie inny i pewnie bliski temu, co usłyszałem od Ryszarda na komisariacie.

– To przede wszystkim był nieszczęśliwy wypadek i prawdziwym winnym całej sytuacji był napastnik, który, co również niefortunne, poniósł już najwyższą karę. Prokuratura ma świadomość, że wszyscy byliście ofiarami w tej sytuacji. Nie powinna się pani tym teraz już zamartwiać, zwłaszcza w tym stanie – powiedziałem w paternalistycznym tonie.

Te słowa uspokoiły dziewczynę, a ja zakończyłem swoją misję. Więcej zrobić nie mogłem i nie zamierzałem.

Kolejne dni zlewały się ze sobą, tygodnie przemijały jeden za drugim. W moim życiu nic się nie zmieniało. W połowie tygodnia zanurzałem się w wodach nałogu i wypływałem na powierzchnię jedynie na krótkie chwile, żeby dać dowód sobie i otoczeniu, że jestem normalny, pracowity i nieziemsko efektywny. W rzeczywistości mój nastrój drastycznie się pogarszał. Staczałem się coraz bardziej w otchłań.

Zacząłem być jakiś nieswój. Myśl o kolejnym dniu, nie ważne czy pracującym, czy wolnym, powodowała u mnie jakiś wewnętrzny niepokój, mimo że teoretycznie nie miałem żadnych trudnych ani stresujących spraw, czy w ogóle żadnych problemów. To był jakiś dziwny podszept, który kazał mi się lękać nie wiadomo czego. Codzienne dawki alkoholu najlepiej tłumiły to uczucie i z biegiem czasu nie było już dni bez picia. Niezmienne pozostało tylko to,

że jednak piłem na tyle z umiarem, żeby następnego dnia móc wstać i odpracować pańszczyznę. W prokuraturze nikt nie zwracał uwagi na mój pogarszający się stan psychiczny, bo tam chyba połowa składu jest w trakcie takiego psychicznego zjazdu lub zaraz przed nim. Jedynie Jonasz zwrócił uwagę na zmiany, które we mnie zaszły i zaproponował koleżeńskie wyjście na piwo.

– Dobrze, że już piątek – powiedziałem, gdy tylko barman podał nam po kufłu. Siedzieliśmy w małym barze na Kazimierzu, jednym z moich ulubionych. Miał nietypową nazwę, przytulne wnętrze i pianino, na którym w piątki i soboty grywał zawsze jakiś student akademii muzycznej, żeby sobie dorobić. Poza tym było tam wyjątkowo mało, jak na Kazimierz, turystów. – Nie mogłem już tam wysiedzieć – dodałem po wypiciu dużego łyka, który osuszył kufel mniej więcej w jednej trzeciej.

Jonasz popatrzył na moje piwo i sam też wziął parę łyków, choć znacznie mniejszych.

– Ja też nie mogłem się doczekać, pisałem dziś cały dzień postanowienie o umorzeniu i nie skończyłem, co oznacza, że poniedziałek nie będzie przyjemny, a dodatkowo przez cały weekend będę się nad tym zastanawiał. – Jonasz pokiwał głową z rezygnacją.

– Trzeba to było skończyć i mieć czystą głowę w weekend – skomentowałem ze świadomością, że się przemądrzam.

– To nic by nie dało, bo Romek i tak by mi tego dziś nie sprawdził. Tak czy inaczej, stresowałbym się tym przez weekend, wiesz jak potrafi się dopierdolić. Mam wrażenie, że on lubi upokarzać ludzi.

– On czuje się przez to lepszy – przyznałem. – Ale nie masz co narzekać, widziałem jak się popisuje przed młodymi asesorkami. Jemu się chyba wydaje, że opierdalanie to jakaś gra wstępna... – uśmiechnąłem się do Jonasza z empatią i pociągnąłem kolejny łyk, który pozostawił kufel już tylko w połowie wypełniony. – Ty sobie dobrze radzisz i chyba rzadko masz problem z Romkiem.

Jonasz nie skomentował tego, ale zasępił się. Pomyślałem sobie o tym, jak ja przeżywałem wszystkie tego typu sytuacje w czasie odbywania asesury i w sumie jak nadal reaguję na to, że ktoś ocenia moją pracę. To się zdarza już rzadko, ale szef i Romeczek dalej mogą mnie opierdalać, bo prokuratura to takie dziwne miejsce, w którym prawnicy są częściowo zwykłymi urzędnikami w zhierarchizowanym aparacie. To, co jedynie odróżnia nas od innych urzędów, to że my jesteśmy równocześnie scentralizowani i nie możemy po prostu zmienić pracodawcy.

Wszyscy podlegamy Prokuratorowi Generalnemu, obecnie pełniącemu również funkcję Ministra Sprawiedliwości.

– To jest taka struktura i albo się do niej przyzwyczaisz, albo nie przetrwasz tu. Ale nie martw się, jak przejdiesz asesurę i przepracujesz kilka lat, możesz odejść i wpisać się na listę adwokatów – powiedziałem to, żeby go pocieszyć, ale wszyscy wiedzieliśmy, że to nie jest takie proste. Odkąd otwarto dostęp do tego zawodu, skończyły się dobre czasy na wolnym rynku prawników. Teraz nie wystarczyło wpisać się na listę i otworzyć szeroko drzwi kancelarii, żeby tłumy wbiegły gromko do poczekalni. Mam kolegów, którzy nie mogli zarobić na ZUS i ostatecznie skończyli na ciepłych posadkach w urzędach lub jakimś korpo jako prawnik wewnętrzny. A tam znów masz szefa i przed kimś odpowiadasz. Błędne koło: albo niezależność, albo spokój.

– Jakbym jeszcze dostał jakieś trudne zadanie, to miałbym motywację, żeby się do tego przyłożyć tak, żeby Romeczek mi nie znalazł jakiegoś przecinka...

– Albo braku spacji pomiędzy znakiem paragrafu a numerkiem – wtrąciłem. – Wiem, wiem, to są jedyne sprawy na których Romeczek się zna i dlatego tak się na nich skupia. Nie ma pojęcia o merytoryce, więc przypierdala się do formy. Nic nie poradzisz.

– No właśnie! – entuzjastycznie przytaknął Jonasz. – I dlatego ja, pisząc to postanowienie, nie myślę o przesłankach i argumentacji, tylko o przecinkach i zwrotach, uważając, żeby jakiegoś potem publicznie nie wyśmiał.

– To mały człowiek. Nie przejmuj się nim. Jak chcesz, to możesz w poniedziałek podejść z tym do mnie, to rzucę okiem, ale wiesz, że to i tak nic nie da, bo jak on coś będzie chciał znaleźć, to i tak znajdzie, a jak mu powiesz, że ja to sprawdzałem wcześniej, to już masz jak w banku, że będzie szukał, aż znajdzie. Olej to po prostu.

Jonasz pokiwał głową i choć grymas z jego czoła nie zniknął, wiedziałem, że ta rozmowa i piwko powoli pozwalają mu się rozluźnić. Mojego piwa już prawie nie było. Wyszacowałem, że Jonasz pije dwa razy wolniej ode mnie, więc zdążę spokojnie wypić jeszcze jedno, póki nie skończy. Poprosiłem przechodzącego kelnera o kolejny kufel.

– Widzę, że się rozsmakowujesz, więc wypiję jeszcze jedno w tym czasie, a potem może odpalimy jakieś szoty? Jak będziemy wlewać w siebie piwo cały wieczór, to zaraz będzie trzeba co chwilę latać do kibla. Poza tym – wskazałem na kufel Jonasza – trzeba to przyspieszyć bo w tym tempie to możemy nie zdążyć się najeść przed zamknięciem.

Akurat kelner podawał mi kolejne piwo, i usłyszawszy te słowa, wtrącił z rozbajającym uśmiechem:

– Nie ma obawy, panowie, zdążycie!

Okolo północy mieliśmy już przed sobą piątą tackę z wiśniowymi szotami, a na każdej były po dwa kieliszki dla każdego, co łącznie daje jakie pół litra na głowę – tyle wystarczy, żeby się najebać, ale nie dla takiego konesera życia jak ja.

Jonasz bardzo niechętnie spoglądał na kolejne zamówione przeze mnie kolejki, ale nie odmawiał, więc dryfowaliśmy powoli od kieliszka do kieliszka. Nasza rozmowa zeszła na przyjemniejsze tematy, takie jak wspomnienia wykładowców na uniwersytecie, bo mimo różnicy wieku w trzech czwartych byli to ci sami ludzie. Gadaliśmy o tym, jak było ciężko z niektórymi przedmiotami i jakie się to później wydawało jednak proste, gdy przyszło po studiach zmierzyć się z aplikacją prokuratorską. Rozmawialiśmy o tym, co skłoniło każdego z nas, żeby pójść w tym kierunku, i jak bardzo rzeczywistość okazała się rozczarowująca. Pogadaliśmy trochę o piłce nożnej, bo choć Jonasz jest przyjezdny, to na studiach sporadycznie chodził na mecze ekstraklasy, co ciekawe, tej samej drużyny, którą ja wybrałem jeszcze w podstawówce. Z biegiem czasu i wraz z kolejnymi tackami kieliszków rozmowa stawała się coraz bardziej emocjonująca, a jeszcze później – coraz bardziej bełkotliwa. Trzymaliśmy się jednak obaj mocno i noc w żadnym wypadku nie wydawała się zmierzać ku końcowi.

Gdy zeszło na temat dzieciństwa i opowiadałem o miejscu w którym się wychowałem, padła w rozmowie nazwa ulicy Stradomskiej i wtedy Jonaszowi mimochodem przyszła do głowy pewna myśl:

– W sumie to się ta sprawa tej parki, którą przesłuchiwałeś, skończyła prościej, niż ktokolwiek by pomyślał...

– Co masz na myśli? – zapytałem zdziwiony.

– No mają już spokój, bo zamykamy temat. – Tym razem to Jonasz popatrzył na mnie zaskoczony, a ponieważ nic nie odpowiedziałem, dodał: – To postanowienie o umorzeniu śledztwa, o którym ci mówiłem, piszę dla Romeczka, bo umarzamy sprawę z uwagi na śmierć podejrzanego. Gość powiesił się w areszcie, nie będzie procesu.

„Ryszard nie żyje...”

Świat zawirował wokół mnie, głośne rozmowy i śmiechy ludzi zlały się w jedno z muzyką pianina, tworząc kakofoniczny zgiełk. Wirująca przestrzeń sprawiła, że poczułem się gorzej. Wstałem, potrącając stolik i przewracając puste kieliszki, ruszyłem w kierunku wyjścia, minąłem muzyka, który – byłem tego pewien – obrócił się do mnie i roześmiał upiornie, nie odrywając palców od klawiszy. Przeniosłem wzrok na dwie osoby przy stoliku obok wejścia, a siedzący tam mężczyzna patrzył mi prosto w oczy z obrzydliwym uśmiechem. Kobieta, która siedziała do mnie plecami, odwróciła głowę i spojrzała z politowaniem, ale zaraz też się roześmiała. Ci wszyscy ludzie mieli upiorne wyrazy twarzy, to było przerażające. Wybiegłem przed lokal, potknąłem się, upadłem i niemal natychmiast zwymiotowałem.

Gdy opróżniłem zawartość żołądka i wstałem, stwierdziłem, że wszystko wokół wygląda już normalnie, z knajpy dobiegał nadal dźwięk muzyki i szum rozmów. „To tylko moja pijacka wyobraźnia” – pomyślałem, próbując się uspokoić. Odpaliłem papierosa i zaciągnąłem się. Stałem plecami do drzwi i obserwowałem nocne zamieszanie właściwe dla weekendów na Kazimierzu. Ludzie stali jak ja przed knajpami, przy ogródkach, w kolejce do zapiekanek na placu. Alkohol lał się strumieniami, dźwięki imprez dochodziły z kilkunastu lokali. Usłyszałem skrzywienie otwierających się za mną drzwi i głos Jonasza:

– Widzę cię... Widzę, co ze sobą robisz...

Zamarłem.

– Co powiedziałeś? – zapytałem niepewnie i obróciłem się powoli.

– Wiem o tobie wszystko – powiedział spokojnie stojący przede mną Ryszard, choć z jego ust wydobywał się głos Jonasza. – Jesteś na drodze donikąd, chłopcze...

Poranek przyniósł parszywe samopoczucie, ból głowy i potężne problemy z żołądkiem. Gdy pijesz tak długo, organizm zaczyna ci dawać znać, że to nie jest normalne, i się buntuje. Póki jesteś młody, dojście do siebie zajmuje jeden, może dwa dni. Z upływem lat czas potrzebny na pełną regenerację wydłuża się, a w pewnym momencie dochodzisz do takiego stanu rozchwiania, że jakiś element układanki stanowiący o sile tego samoodnawiającego się mechanizmu ulega trwałemu uszkodzeniu i wtedy zaczynają się problemy.

Konsekwencje cielesne wbrew pozorom nie następują szybko. Zniszczyć sobie zdrowie pić to zadanie na lata. Niezależnie, ale równoległe do nich postępuje degradacja psychiczna, która

może przynieść problemy znacznie szybciej niż ciało. Zatruty umysł może chorować silniej niż reszta organizmu i może wcześniej dawać sygnały o kończącym się czasie.

Tego poranka miałem głębokie poczucie umierania, zarówno fizycznego, jak i psychicznego, ale byłem przekonany, że już jutro, ewentualnie pojutrze będzie lepiej. Organizm wróci do stanu względnej równowagi, bo o dobrej formie to mogłem już raczej zapomnieć. Przystałem uprawiać sport i to był początek końca dobrego samopoczucia, jakby tylko codzienny wysiłek trzymał mnie przy zdrowiu. Nadal jednak mogłem przywrócić do ładu swój organizm. Znacznie gorzej było z psychiką.

Permanenty kac, wyrzuty sumienia i poczucie bezsilności dręczyły mnie od wielu tygodni. Do tego doszły te zwidy. Jedyne, co mogło mi pomóc, powodowało równocześnie przebudzenie jakichś potwornych demonów. Gdy to działo się w snach, to pół biedy, ale gdy wyobraźnia zaczęła mi płatać figle na jawie, przestraszyłem się.

– Muszę ogarnąć przestrzeń wokoło – powiedziałem głośno, chcąc przekonać samego siebie do tego zadania.

Poskładałem ubrania rozrzucone wczoraj, włączyłem pralkę, ogarnąłem naczynia, wziąłem prysznic, zrobiłem sobie śniadanie, wypiliśmy kawę i zapaliłem elektronicznego papierosa. Gdy to wszystko już zrobiłem, stanąłem na środku mieszkania i nie wiedziałem co dalej. „Nie mam nic konkretnego do zrobienia aż do poniedziałku...” – ta myśl mnie przytłoczyła. Nie chciało mi się oglądać telewizji ani czytać książki. Tym bardziej nie chciało mi się nigdzie iść.

„No i co teraz zrobisz z tak pięknie rozpoczętym dniem?” – usłyszałem głos pochodzący z wnętrza mojej udręczonej duszy. „Jestem bezsilny” – pomyślałem i łzy pociekły po moich policzkach. Upadłem na kolana i szlochałem przez kilkanaście minut, aż od tego płaczu rozboleła mnie głowa. Przystałem nagle i poszedłem do łazienki zobaczyć się w lustrze.

Mężczyzna, którego zobaczyłem, nie był mną. To jakiś słabeusz z zaczerwienionymi od łez oczami i zasmarkanym nosem. Postanowiłem, że muszę wziąć się w garść. Umyłem twarz i ubrałem się do wyjścia. „Nie mogę się nad sobą użalać”.

Postanowiłem pójść do sklepu, żeby kupić coś na kaca. Jak poprawi mi się nastrój, to złe myśli odejdą i wtedy pomyślę o jakimś rozwiązaniu całej tej sytuacji. Póki jestem w takim stanie, nic nie wymyślę. Przypomniałem sobie o mikrodawkowaniu u narkomanów i doszedłem do wniosku, że może to jest jakieś rozwiązanie na szybko. Mała dawka alkoholu, która odpędzi depresję, ale pozwoli nadal w miarę trzeźwo myśleć.

„Muszę znaleźć jakieś trwałe rozwiązanie, przecież z tego na pewno jest jakieś wyjście”.

Ponieważ najbliższy sklep był zamknięty z powodu remanentu, musiałem pójść odrobinę dalej, aż do Stradomskiej. Skręcałem akurat z ulicy Kołetek, gdy usłyszałem skrzypienie wózek i wołanie:

– Panie sędzio! Proszę poczekać!

W pierwszej chwili nie poznałem biegnącego za mną człowieka, który porzucił wózek z obwarzankami na środku jednokierunkowej uliczki.

– Panie sędzio, proszę poczekać, muszę panu coś powiedzieć!

Popatrzyłem na jego wózek, który zablokował ulicę i stojący za nim pojazd. Gość w BMW nie wyglądał na zachwyconego tą sytuacją. Właściciel wózka jakby wyczytał pytanie z mojej twarzy i szybko powiedział:

– Poczeka! Gdzie mu się śpieszy tą furą. Pieprzony zarobas, pewnie nakradł...

– W czym mogę pomóc? – zapytałem ironicznie.

– Panie sędzio, mam dla pana wiadomość od Rysia – mówiąc to, sprzedawca obwarzanków otworzył zapiętą w pasie nerkę i spośród pobrzękujących monet wyciągnął złożoną wielokrotnie białą kopertę. – Prosił, żeby panu przekazać, zanim...

– Widział się pan z nim? Kiedy? – zapytałem zdziwiony, patrząc na list w jego ręce.

– Oczywiście! Byliśmy kolegami. Odwiedziłem go w areszcie i dał mi wtedy list dla pana – mówiąc te słowa, wręczył mi sfatygowaną kopertę. – Przepraszam, że taka pomięta. Ale nie otwierana! – powiedział stanowczo, po czym odwrócił się w stronę wózek, bo gość z BMW zaczął już trąbić. – No już, już! Gdzie ci się tak śpieszy tą furą? Ludzie tu rozmawiają kulturalnie... – Pokręcił głową i zwrócił się do mnie: – Muszę odjechać, bo widzi pan, że się chamstwo i hołota szerzą. Myśli, że jak ma taki samochód, to jest królem świata! – Znowu odwrócił się do BMW i podniósł głos: – A teraz ja tu stoję i co zrobisz tym swoim autkiem? Przeskoczysz? Czekaj sobie, aż przepchnę wózek! – Na końcu obdarzył mnie jeszcze porozumiewawczym uśmiechem jakbym był jego współnikiem w tej aferze z kierowcą BMW.

Na odchodnym usłyszałem jeszcze kilka uwag o pochodzeniu właściciela auta, wywnioskowanym z pierwszych liter numeru rejestracyjnego pojazdu i sugestie odnośnie do powrotu do siebie na wieś.

A ja zostałem sam na ulicy i trzymałem w ręku list od człowieka, który ledwo mnie znał, ale postanowił przed odebraniem sobie życia do mnie napisać.

Salve, Prokuratorze,

Jestem Ci winny pewne wyjaśnienia. Nie okłamałem Cię w żadnej sprawie. To, że później wydarzenia potoczyły się inaczej, niż mogłeś się tego spodziewać, wynikało z nagłej decyzji, niepowtarzalnego znaku od losu, który nakazał mi iść w danym kierunku bez względu na wszystko.

Cieszę się, że nie miałeś żadnych problemów w związku z naszą wcześniejszą rozmową. Jestem pewny, że gdyby tak było, ktoś by mnie wypytywał w tej sprawie. Skoro nikt nie poruszył tej kwestii, domyślam się, a wręcz jestem pewny, że nasza rozmowa pozostała pomiędzy nami. Wynika też z tego poniekąd drugi powód mojego zadowolenia: że ci młodzi, których droga życia skrzyżowała się z moją tak niefortunnie, nie ucierpią, a to uważam za sprawiedliwe, ponieważ nie zawinili tej sytuacji.

Trzecim powodem jest to, że odchodzę i przed zamknięciem oczu mogę sobie powiedzieć, że jedną rzecz udało mi się w życiu zrobić właściwie, z pożytkiem dla ludzi, sprawiedliwości i nie krzywdząc nikogo. Nawet nie wiesz, jaka to ulga.

Świadomość, że umierasz, jest sama w sobie przytłaczająca. Gdyby nie decyzja o tym, żeby samemu wybrać czas i miejsce, zdechłbym w hańbie w ciągu najbliższych miesięcy, a wcześniej cierpiałbym niewyobrażalne katusze. Zarówno fizyczne, jak i psychiczne.

Choroba doprowadziła mnie do szaleństwa. Nie mam już co do tego żadnych wątpliwości. W chwilach, gdy pojawiają się demony, obłądnie się boje, a gdy ich nie ma, czuję nieustanny lęk przed ich pojawieniem się. Bardziej niż śmierci boję się niepoczytalności; tego, że nie będę kontrolował swojego umysłu. Od tego zdecydowanie wolę śmierć.

Ten krótki czas w luksusowym przybytku, nazywanym aresztem, spędziłem na przemyśleniach, czy jest jeszcze dla mnie jakaś szansa. Doszedłem do jednoznacznego wniosku, że nie ma. Byłem już tu kiedyś, wspomniałem ci o tym, że czytałem Wilde'a i pod jego wrażeniem napisałem swoje własne „De Profundis”, moją spowiedź z głębi duszy. Wtedy jeszcze myślałem, że jest dla mnie szansa, ale skoro jej nie wykorzystałem, to teraz tym bardziej nie dam rady. Oczywiście zamiast zwisać na prześcieradle w obłej celi wolałbym zapić się na śmierć po długim i szczęśliwym życiu. Jestem jednak świadomy, że takiej możliwości już nie ma. Po pierwsze, nie będzie już

długiego i szczęśliwego życia, a po drugie, nie jest tak łatwo się zapić. Organizm jest zbyt twardy i utrzyma cię przy życiu tak długo, że umyślony szczęśliwy koniec przerodzi się raczej w tragiczne konanie.

To, co dla siebie zaplanowałem, jest najlepszym, na co mogę liczyć, i tylko ja mogę sobie podarować tę ulgę. Wtedy, kiedy był dla mnie czas, wydawało mi się, że nikt mi nie pomaga, ale tak naprawdę to ja sobie nie pomogłem. Nie mam lepszych słów niż cytaty z mistrza:

*„Zmuszony jestem powiedzieć sobie otwarcie, że ja sam zrujnowałem swoje życie i że życie żadnego człowieka nie może być zrujnowane, o ile nie uczyni on tego sam, własną ręką (...) Okrutnem było to, co świat mi wyrządził, nieporównywalnie okrutniejszym wszakże, co wyrządziłem sobie ja sam”**

Jeżeli faktycznie była jeszcze kiedyś szansa, żebym zawrócił z tej drogi, to ja własnymi decyzjami ją zaprzepąściłem. Niemilosiernie oskarżam samego siebie.

Jeżeli kiedykolwiek spotkasz w swoim życiu człowieka, którego los albo złe decyzje mogą popchnąć w złą stronę, albo który już jest na tej drodze, daj mu szansę i pomóż mu. Pomóż jednemu człowiekowi w ciągu całego swojego życia, a gdy przyjdzie twój czas, będziesz spokojny o swoją duszę.

Wiem, że wysłuchasz tej prośby, bo choć nie znam Twojej wrażliwości, to jestem pewien, że wyjątkowość listu otrzymanego zza świątów przemówi do twojej wyobraźni. To moja ostatnia wola, Prokuratorze.

Bywaj!

Z mroku otchłani wyłoniło się światło. Wyszukałem pierwszy lepszy numer w internecie i bez zastanowienia nacisnąłem na telefonie zieloną słuchawkę:

– Dzień dobry, Mateusz Maj, lekarz terapeuta uzależnień. Nie mogę teraz odebrać, proszę nagrać wiadomość.

Usłyszałem sygnał. Przez ułamek sekundy wahałem się, czy się nie rozłączyć, ale wiedziałem, że to kliknięcie oddziela mnie od otchłani, w którą się staczam. Jeśli to zrobię, nie będzie już powrotu.

* Cytat pochodzi z książki *De Profundis*, Oscara Wilde'a.

– Panie doktorze... Chciałbym cofnąć czas do tej chwili nim... Czy jest dla mnie szansa? – I dopiero teraz się rozłączyłem. Usiadłem na ławeczce i czekałem. Czekałem, aż doktor zadzwoni i uratuje mnie przed samym sobą. Na ulicy wokół mnie toczyło się normalne życie, a ja czekałem na pomoc.